

M. K.

GANDHI



AUTOBIOGRAFIA

DZIEJE MOICH
POSZUKIWAŃ PRAWDY

M. K.

GANDHI

AUTOBIOGRAFIA

DZIEJE MOICH
POSZUKIWAŃ PRAWDY

TYTUŁ ORYGINAŁU: M.K. Gandhi *An Autobiography
or The Story of My Experiments With Truth*

Copyright © Navajivan Trust. This book is published by the permission
of Navajivan Trust, Ahmedabad – 380014 (India)

All rights reserved.

Copyright © 2013 Axis Mundi

ZDJĘCIE NA OKŁADCE: © The Granger Collection/FORUM
ZDJĘCIA: str. 5, 194 (z żoną), 260 – Getty Images/Flash Press Media,
str. 14 (z bratem), 96, 374 – Rue des Archives/FORUM,
str. 503 – Sueddeutsche Zeitung Photo/FORUM

WYDANIE V

ISBN: 978-83-61432-49-4

EAN: 9788361432494

E-BOOK: 978-83-61432-56-2

PRZEKŁAD: Józef Brodzki

REDAKCJA MERYTORYCZNA: Bożena Rubczyńska

REDAKCJA: Elżbieta Makowska

KOREKTA: Katarzyna Szajowska, Magdalena Swoboda

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Borys Borowski

SKŁAD: Positive Studio

Polish language copyright © 2013 Axis Mundi

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część książki nie może być wykorzystana
bez zgody wydawcy.

WSPÓŁPRACA WYDAWNICZA: Aleja Róż, Katarzyna Majszczyk



M. K.

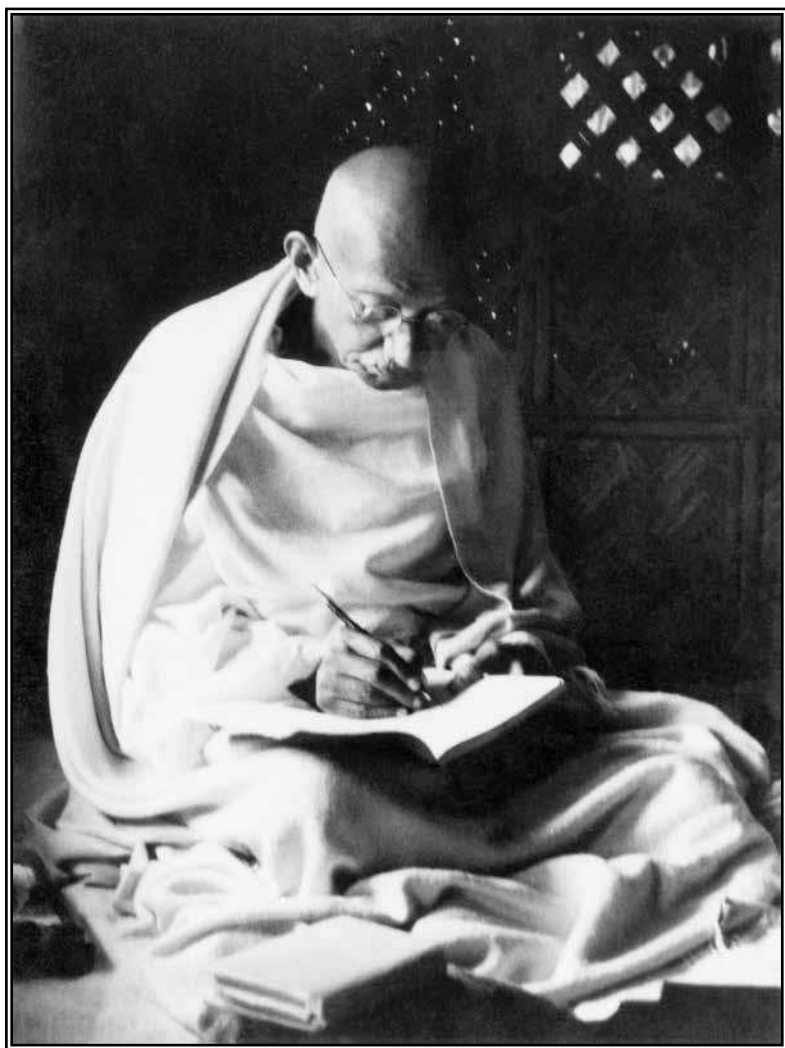
GANDHI

AUTOBIOGRAFIA

DZIEJE MOICH
POSZUKIWAŃ PRAWDY



AXIS MUNDI



Przed czterema lub pięciu laty pod wpływem nalegań niektórych moich najbliższych współpracowników zgodziłem się napisać swoją autobiografię. Zacząłem więc pisać, wszakże zaledwie zdążyłem odwrócić pierwszą zapisaną kartkę, kiedy w Bombaju wybuchły rozruchy i praca moja uległa zatrzymaniu. Następnie przyszła cała seria wydarzeń, których kulminacyjnym punktem było uwięzienie mnie w Yeravda¹.

Dżeramdas, jeden z moich towarzyszy więziennych, prosił mnie, bym odłożył wszystkie inne prace i skończył spisywanie mego życiorysu. Odpowiedziałem mu, że zakreśliłem już pewien plan prac nad poznaniem siebie samego i że nie sądzę, bym mógł zająć się czymkolwiek innym, zanim tego nie wykonam. Mogłbym jednak zdążyć skończyć swą autobiografię, gdybym odsiedział całą karę w więzieniu; potrzebny mi był jeszcze rok do skończenia mego życiorysu, kiedy zostałem zwolniony.

Swami Anand ze swej strony wystąpił z taką samą prośbą, a wobec tego, że skończyłem opisywanie dziejów ruchu Satjagraha² w Afryce Południowej, nęciło mnie podjęcie pracy nad autobiografią dla „Navajivanu”³. *Swami* chciał, abym napisał oddzielnie do wydania książkowego – nie miałem jednak tyle czasu do rozporządzenia. Mogłem zaledwie co tydzień pisywać po jednym rozdziale. Coś trzeba było każdego tygodnia napisać dla „Navajivanu”. Czyż nie mogłaby to być moja autobiografia? *Swami* zgodził się na mój projekt i oto zabieram się ostro do roboty. Wszelako mój głęboko wierzący przyjaciel żywił co do tego pewne wątpliwości, którymi podzielił się ze mną w „dniu milczenia”.

– Czemu się wdajesz w tę awanturę? – zapytał mnie. – Pisanie własnego życiorysu jest raczej właściwe ludziom z Zachodu. Nie znam nikogo ze Wschodu, który by to robił, jeżeli nie liczyć tych, którzy ulegli wpływom zachodniego świata. I o czym chcesz pisać? Wyobraźmy sobie, że jutro odrzucisz poglądy, które dziś uważasz za niezłomne, lub też poddasz w przyszłości rewizji swoje dzisiejsze plany – czyż nie sprawi to, że ludzie postępujący zgodnie z tym, co głosi twoje słowo, bądź mówione, bądź pisane, będą się uważali za wprowadzonych w błąd?

1 Yeravda – więzienie brytyjskie, w którym Gandhi przebywał od 18 marca 1922 r. do 26 stycznia 1924 r.

2 Satjagraha – patrz cz. IV, rozdz. XXVI.

3 „Navajivan” (Nowe Życie) – miesięcznik kierowany przez Gandhiego. Wychodził w Ahmedabadzie w języku guźarati.

Czy nie sądzisz, że rzeczą znacznie bardziej właściwą byłoby zaniechanie właśnie teraz pisania jakiejkolwiek autobiografii?

Ten argument wywarł na mnie pewne wrażenie. Ale moim zamiarem nie jest napisanie autentycznego własnego życiorysu. Pragnąłem po prostu opowiedzieć dzieje moich niezliczonych zmaganiań na drodze poszukiwania prawdy, a wobec tego, że całe moje życie jest w gruncie rzeczy tylko właśnie tymi poszukiwaniami, więc też odpowiada prawdzie, że cała opowieść będzie częściowo nosiła charakter autobiograficzny. Nie będę jednak miał nic przeciwko temu, by każda stronica mówiła jedynie o tych moich poszukiwaniach i zmaganiach, jakie toczyłem w imię prawdy.

Mam nadzieję, a może jedynie schlebiam sobie, żywiąc ją, że relacja o wszystkich tych poszukiwaniach może przynieść pewną korzyść czytelnikowi.

Moje doświadczenia w dziedzinie polityki są obecnie znane nie tylko w Indiach, lecz do pewnego stopnia całemu cywilizowanemu światu. Dla mnie oświadczenie nie mają one szczególnego znaczenia, a tytuł „Mahatma”⁴ jaki mi zyskały, ma go jeszcze mniej. Ten tytuł sprawiał mi często głęboki ból i nie pamiętam takiej chwili, kiedy można byłoby powiedzieć, że był mi przyjemny. Natomiast bardzo chętnie gotów jestem opowiedzieć o wszystkich moich zmaganiach i poszukiwaniach w dziedzinie duchowej, o których wiem tylko ja, a które stały się źródłem tej siły, jaką rozporządzam, działając na polu polityki. Jeżeli te zmagania i poszukiwania mają charakter „duchowy”, wtedy nie może być mowy o jakimś chwaleniu się z mojej strony – przeciwnie: przyczyniają się one jedynie do umocnienia mnie w skromności. Im bardziej bowiem zastanawiam się nad moją przeszłością i bliżej się jej przypatruję, tym mocniej odczuwam, jak daleko mi do doskonałości.

To, co pragnąłem osiągnąć, do czego dążyłem i co usiłowałem zdobyć w ciągu ubiegłych trzydziestu lat, zawarło się w pragnieniu poznania siebie samego, spojrzenia w oblicze Boga, w dążeniu do osiągnięcia *moksza*⁵.

Żyję, działam, istnieję dla osiągnięcia tego celu. Wszystko, co czynię, bądź przemawiając, bądź pisząc, oraz wszystkie moje poczynania polityki zmierzają do tego samego celu. Wobec tego jednak, że zawsze utrzymywałem, iż to, co jest możliwe do osiągnięcia dla jednostki, jest również dostępne

4 Mahatma – wielki duchem.

5 Moksza – wyzwolenie od narodzin i od śmierci.

ogółowi, wszystkie moje poszukiwania prawdy prowadzone były nie w izolacji, lecz na oczach wszystkich. Nie sądzę, by ta okoliczność pomniejszała ich wartość duchową. Istnieją wszelako pewne sprawy, których poznanie jest dostępne wyłącznie jednostce oraz jej Stwórcy. Nie dadzą się one absolutnie przekazać. Poszukiwania, o których zamierzam opowiedzieć, nie mają tego charakteru. Są one natury duchowej albo raczej moralnej. Istotą bowiem religii jest moralność.

Do opowieści niniejszej włączone zostaną jedynie te sprawy dotyczące religii, które będą mogły być zrozumiane zarówno przez dzieci, jak i przez dorosłych.

Jeżeli zdołam opowiedzieć o nich w sposób beznamiętny i skromny, pomogą one wielu innym poszukiwaczom prawdy w ich dalszej drodze naprzód. Jestem bardzo daleki od nadawania tym poszukiwaniom jakichkolwiek cech doskonałości. Nie pretenduję do niczego innego, podobnie jak uczony, który przeprowadzając badania z maksymalną dokładnością, zdolnością przewidywania i skrupulatnością, nigdy nie wydaje ostatecznego wniosku o swych osiągnięciach, lecz przygląda się im z całym krytycyzmem.

Poddałem się głębokiej samoanalizie, usiłowałem na każdym kroku odnajdywać siebie samego, każdą sytuację psychologiczną starałem się zbadać i zgłębić – a jednak daleki jestem od tego, by pretendować do nieomyślności wniosków, do których doszedłem.

Pretenduję jednak do jednego, a mianowicie do tego, że moje wnioski wydają mi się bezwzględnie słuszne i – na razie – skłonny jestem uważać je za ostateczne. Gdyby było inaczej, nie mogłyby stanowić podstawy do jakiegokolwiek działania. W każdym przypadku stosowałem metodę przyjmowania lub odrzucania powziętych wniosków i postępowałem zgodnie z nią. Dopóki jednak moje postępowanie jest zgodne z moim rozumem i z moim sercem, muszę się mocno trzymać raz powziętych moich własnych wniosków.

Gdyby mi chodziło jedynie o rozważanie zasadniczych zagadnień, z pewnością nie próbowałbym pisać autobiografii, wobec tego jednak, że moim celem jest przytoczyć szereg różnych praktycznych wskazówek, jak stosować te zasady, więc też rozdziały, które zamierzam napisać, opatruję wspólnym tytułem: *Dzieje moich poszukiwań prawdy*.

Będą one zawierały moje zmagania i poszukiwania, o ile chodzi o nie-sprzeciwianie się złu, sprawę celibatu lub inne metody postępowania, jakoby niezależne od wierności zasadom prawdy. Moim zdaniem jednak, prawda jest

naczelną zasadą, skupiającą w sobie inne liczne zasady. Tego rodzaju Prawda polega nie tylko na wierności prawdzie w słowach, lecz również w myślach i dotyczy nie tylko względnej prawdy, tak jak my ją rozumiemy, lecz Prawdy Absolutnej, Zasad Odwiecznych, czyli pojęcia Boga.

Istnieją niezliczone definicje Boga, gdyż niezliczone są dowody Jego istnienia. Napęłniają mnie one podziwem, czcią i na chwilę oszołamiają. Ale ja uznaję Boga jedynie jako najwyższe wcielenie Prawdy. Nie znalazłem Go jeszcze, ale wciąż Go poszukuję i gotów jestem na drodze tych poszukiwań złożyć w ofierze wszystko, co posiadam najdroższego. Nawet gdyby ta ofiara wymagała mego życia, sądzę, że byłbym gotów je poświęcić. Dopóki jednak nie zdołałem poznać Absolutnej Prawdy, muszę pozostać wierny względnej prawdzie, a więc takiej, jak ją sobie wyobrażam. Ta względna prawda musi być dla mnie – na razie – moją latarnią morską, moją tarczą i moim puklerzem. I chociaż obrona przeze mnie ścieżka jest stroma, wąska i niekiedy ostra jak ostrze brzytwy, dla mnie była ona jednak najkrótsza i najdogodniejsza.

Nawet moje błędy, wielkie jak Himalaje, wydały mi się fraszką, gdyż wier nie trzymałem się tej ścieżki. To ona ustrzegła mnie od poważnych kłopotów, szedłem więc naprzód zgodnie z prowadzącym mnie światłem. Niekiedy w posuwaniu się naprzód przytrafiały mi się chwile, gdy strwożonym spojrzeniem zdawałem się dostrzegać Absolutną Prawdę i Boga, wtedy z każdym dniem mocniej rosła we mnie pewność, że jedynie On jest czymś realnie istniejącym, wszystko inne zaś jest nierealne.

Niechże więc ci, którzy tego pragną, uprzytomnią sobie, jak bardzo to przeświadczenie brało we mnie górę, niech zechcą uczestniczyć w moich poszukiwaniach, a także – jeżeli potrafią – niech dzielą ze mną moją wiarę.

Następnym przeświadczeniem, którego nabrałem, było to, że jeżeli cokolwiek jest dostępne dla mnie, tym samym jest dostępne nawet każdemu dziecku. Miałem zresztą bezsporne powody, by tak twierdzić.

Środki, jakimi należy się posługiwać przy poszukiwaniu prawdy, są zarówno bardzo proste, jak i bardzo skomplikowane. Mogą się one jednak wydać wręcz nie do pomyślenia zarówno zuchwalcowi, jak i niewinnemu dziecku.

Człowiek poszukujący prawdy winien być skromniejszy od pyłu zaścielającego ziemię. Życie potrafi skruszyć proch pod jego stopami na najdrobniejszy pyłek, lecz poszukiwacz prawdy sam winien być tak skromny, że nawet ów pył jest w stanie go skruszyć. Tylko wtedy i dopiero wtedy dostrzeże on prawdę.

Dialog pomiędzy Wasiszthą i Wiszwamitrą⁶ czyni to aż nadto oczywistym. Chrześcijaństwo oraz islam również w dostatecznym stopniu to potwierdzają.

Jeżeli cokolwiek z tego, co spisuję na tych kartkach, mogłoby urazić czytelnika, gotowego przyjąć je za dowód rozpierającej mnie pychy, niech raczej zechce uznać, że coś w moich dociekaniach się nie zgadza, a moje przelotne widzenia potraktuje jeno jako miraż. Niechaj zginą setki takich jak ja, lecz niech ostoi się Prawda. Nie uszczuplamy zakresu prawdy nawet o włos, wydając sądy o pograżonych w błędach śmiertelnikach, podobnych do mnie samego.

Mam nadzieję i wnoszę o to modły, by nikt nie zechciał uważać porad rozsianych w tych rozdziałach za autorytatywne. Opowiedziane tu poszukiwania prawdy powinno się rozpatrywać jako ilustracje, w świetle których każdy jest w stanie poczynić własne doświadczenia, zgodnie ze swoimi upodobaniami i umiejętnościami. Wierzę, iż w tym ograniczonym zakresie owe ilustracje mogą być doprawdy pożyteczne, nie mam bowiem zamiaru ani przemilczać, ani przeceniać żadnej z przykrych spraw, które muszą być opowiedziane.

Mam nadzieję, że czytelnik całkowicie pozna wszystkie moje błędy i pomyłki.

Moim celem nie jest bynajmniej powiedzieć, jak bardzo jestem dobry, lecz opisać swoje poszukiwania na drodze poznawania wiedzy o satjagraha. Wydając sąd o sobie samym, będę usiłował być równie bezwzględny, jak jest nią Prawda, oraz jakimi pragnę, by byli inni. Przykładając do siebie tę miarę, muszę zawołać wraz z Surdasem⁷:

*Gdzie znaleźć nędznika
Bardziej niż ja zepsutego i obmierzłego?
Byłem tak wiarołomny,
Żem własnego wyrzekł się Stwórcy*

Bo nieprzerwanym pasmem tortur dla mnie jest to, że wciąż jeszcze jestem daleki od Niego, który – dobrze wiem o tym – rządzi każdym tchnieniem mego

6 Aluzja do bardzo starej legendy opisującej rywalizację między Wasiszthą i Wiszwamitrą – dwoma wielkimi mędrcami.

7 Surdas (1483–1563) – poeta indyjski, autor *Sursagar* – zbioru poematów religijnych.

życia i którego jestem latoroślą. Świadom jestem tego, że złe uczucia trzymają mnie z dala od Niego, a przecież nie mogę się ich wyzbyć.

Muszę jednak już kończyć. Pozostaje mi jedynie podjąć niniejszą opowieść w rozdziale, który nastąpi później.

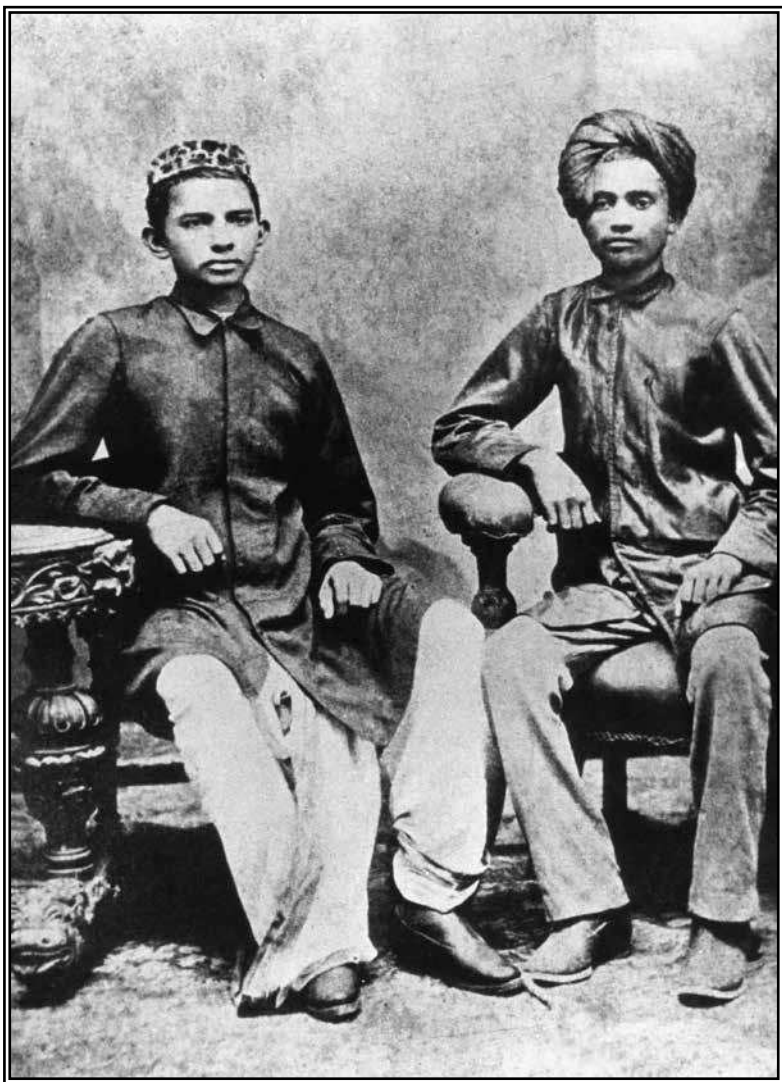
M.K. Gandhi

Aśram,

Sabarmati

26 listopada 1925 r.

CZĘŚĆ I





ód Gandhich należy do kasty *bania*⁸ i – jak się wydaje – wywodził się z kupców korzennych. Jednak od trzech pokoleń, począwszy od mego dziadka, byli oni premierami rządu w różnych księstwach Katiawadu⁹.

Uttamczand Gandhi, czyli Ota Gandhi, mój dziadek, musiał być człowiekiem o surowych zasadach. Intrygi państwowe zmusiły go do opuszczenia Porbandaru¹⁰, gdzie był diwanem¹¹, i schronienia się w Dżunagadh¹². Tu powitał nawaba¹³, unosząc do góry lewą rękę, a ktoś zwróciwszy uwagę na ten ostentacyjny afront, zażądał wyjaśnień, na co otrzymał następującą odpowiedź: „Prawa ręka jest na razie zajęta w Porbandarze”.

Ota Gandhi, owdowiawszy, ożenił się po raz drugi. Z pierwszego małżeństwa miał czterech synów, a z drugiego – dwóch. Nie sędzę, abym kiedykolwiek w dzieciństwie odczuł lub bodaj wiedział, iż owi synowie Oty Gandhiego nie byli dziećmi jednej matki. Piątym spośród tych sześciu braci był Karamczand Gandhi, czyli Kaba Gandhi, szóstym zaś Tulsidas Gandhi. Obydwaj ci bracia byli kolejno, jeden po drugim, premierami rządu w Porbandarze. Kaba Gandhi był moim ojcem. Był on członkiem Trybunału w Radżasthanie¹⁴. Dziś nie istnieje on już, lecz w owych czasach stanowił bardzo wpływową instytucję służącą do likwidowania zatargów pomiędzy przywódcami a członkami ich klanów. Był on również przez pewien czas premierem w Radżkocie¹⁵, a następnie w Wankanerze¹⁶. Gdy umierał, był emerytem państwa Radżkot.

Kaba Gandhi czterokrotnie zawierał związki małżeńskie, zostając raz po raz wdowcem. Miał dwie córki z pierwszego i drugiego małżeństwa. Jego ostatnia żona, Putlibai, urodziła mu córkę oraz trzech synów, z których ja byłem najmłodszy.

8 *Bania* – kasta drobnych kupców.

9 Katiawad – zachodnia część Indii, na północ od Bombaju, obecnie Mumbaiu.

10 Porbandar – port w południowo-zachodniej części Katiawadu.

11 *Diwan* – premier w księstwach indyjskich.

12 Dżunagadh – księstwo w południowej części Katiawadu.

13 *Nawab* – w okresie panowania mogolów przedstawiciel władzy najwyższej, z czasem władca udzielny, książę.

14 Radżasthan – jedna z prowincji indyjskich, położona między Gudżaratem a Delhi.

15 Radżkot – księstwo w centrum Katiawadu.

16 Wankaner – księstwo na północ od Radżkotu.

Mój ojciec kochał swój klan, był mu wierny, odznaczał się odwagą i wielkoduszością, lecz był wybuchowy. Nie stronił od uciech cielesnych. Ożenił się po raz czwarty, kiedy był już po czterdziestce. Był niesprzedajny i zarówno wśród rodziny, jak i na zewnątrz zdobył sobie sławę swą niezłomną bezstronnością. Jego lojalność w stosunku do państwa była powszechnie znana.

Kiedy zastępca przedstawiciela rządu brytyjskiego obelżywie odezwał się o thakore sahebie¹⁷ z Radżkotu, jego przełożonym, wówczas Kaba Gandhi stał czoło owym obelgom. Tamten rozgniewał się i zażądał od Kaby Gandhiego, by go przeprosił, na co mój ojciec odpowiedział odmownie i w rezultacie został uwięziony na parę godzin. Kiedy jednak ów urzędnik zorientował się, że Kaba Gandhi jest nieprzejezdny, wydał rozkaz uwolnienia go.

Mój ojciec nigdy nie pretendował do jakiegokolwiek gromadzenia majątku i pozostawił nam w spadku bardzo niewiele. Nie miał żadnego wykształcenia, prócz tego, które daje doświadczenie. Co najwyżej dałoby się o nim powiedzieć, że osiągnął piąty stopień w języku gudżarati. Znajomość historii i geografii była mu całkowicie obca, jednak bogate doświadczenie nabyte przy rozwiązywaniu praktycznych zagadnień dawało mu mocne podstawy przy rozstrzyganiu najbardziej zawiłych spraw oraz sprawowaniu władzy nad setkami ludzi.

Był też bardzo mało obyty ze sprawami religijnymi, natomiast reprezentował ten rodzaj kultury religijnej, którą wielu Indusów zdobywa dzięki częstemu odwiedzaniu świątyń i przysłuchiwaniu się dyskusjom na tematy religijne. U schyłku swego życia zaczął, na skutek nalegań pewnego zaprzyjaźnionego z rodziną wykształconego bramina, studiować księgi *Gity*¹⁸ i zwykł podczas odprawiania codziennych modłów głośno recytować poszczególne wersety.

Dominującym wspomnieniem, jakie mi pozostało po matce, jest otaczająca ją aureola pewnej świętości. Matka była głęboko religijna. Nie zasiadłaby nigdy do spożywania posiłku bez uprzedniego odprawienia codziennych modłów. Odwiedzanie *haveli*¹⁹ – świątyni poświęconej bogowi Wisznu – było jednym z jej codziennych obowiązków. Jak daleko sięga moja pamięć, nie mogę sobie przypomnieć, by kiedykolwiek opuściła *Czaturmas*²⁰. Składała najsurowsze

17 *Thakore saheb* – książę, pan.

18 *Bhagawadgita* – sławny poemat stanowiący fragment eposu sanskryckiej *Mahabharaty*. Jest to wykład doktryny religijnej, filozoficznej i podstawowy tekst religii hinduskiej.

19 *Haveli* – świątynia boga Wisznu, wisznuicka.

20 *Czaturmas* – ślubowanie postu lub półpostu podczas czterech deszczowych miesięcy.

ślubowania i spełniała je bez uchybień. Nawet choroba nie usprawiedliwiała zwolnienia od nich. Przypominam sobie, że kiedyś zachorowała w trakcie przestrzegania ślubowania *Czandrajana*²¹, jednak zły stan zdrowia nie był wystarczającym powodem, by je przerwała. Poddanie się dwom lub trzem kolejno po sobie następującym postom nie było dla niej czymś niezwykłym. Podczas świętowania *Czaturmas* przyjmowanie jednego posiłku dziennie weszło jej w zwyczaj. Nie zadowolając się tym, matka moja pościła co drugi dzień w okresie jednego *Czaturmas*. Podczas innego *Czaturmas* złożyła ślubowanie nieprzyjmowania posiłków, zanim nie ujrzy słońca.

W owe dnię my, dzieci, staliśmy wpatrzeni w niebo, czekając, aż będziemy mogli oznajmić naszej matce ukazanie się słońca. Każdy wie, że w kulminacyjnych momentach pory deszczowej słońce często wcale się nie pokazuje. Przypominam sobie dnię, kiedy przy nagłym jego ukazaniu się bieглиśmy do matki, by jej tę wiadomość oznajmić. Wtedy matka sama wybiegała z domu, by na własne oczy przekonać się o tym, tymczasem krótka chwila ukazania się słońca już zdążyła przeminąć, pozbawiając ją pożywienia.

– To nie ma znaczenia! – mówiła z pogodą ducha – widocznie Bóg nie chciał, bym dziś jadła. – Po czym wracała do swych domowych zajęć.

Matka moja była obdarzona wybitnie rozwiniętym poczuciem zdrowego rozsądku. Była doskonale poinformowana, gdy chodziło o wszystkie sprawy dotyczące państwa, a panie bywające na dworze wysoko ceniły jej inteligencję. Często, korzystając z przywilejów dzieciństwa, towarzyszyłem jej i wciąż jeszcze zachowałem w pamięci niektóre ożywione dyskusje, jakie moja matka prowadziła z owdowiałą matką *thakore saheba*.

Urodziłem się więc jako dziecko tych oto rodziców, w *Porbandarze*, znanym również pod nazwą *Sudamapuri*, dnia drugiego października 1869 roku. Dzieciństwo spędziłem w *Porbandarze*. Pamiętam, że posłano mnie do szkoły. Przebrnięcie przez tabliczkę mnożenia sprawiało mi znaczne trudności. Nie przypominam sobie z owych dni nic więcej niż to, że nauczyłem się wraz z innymi chłopcami nadawać naszemu nauczycielowi najróżniejsze przezwiska – świadczy to dobitnie, że moje zdolności umysłowe były raczej dość nikłe, a moja pamięć – niedojrzała.

21 *Czandrajana* – rodzaj postu, podczas którego dzienna porcja pożywienia ulega zwiększeniu lub zmniejszeniu, zależnie od ubywania czy też powiększania się tarczy księżycy.

II. DZIECIŃSTWO



iałem zapewne około siedmiu lat, kiedy mój ojciec opuścił Porbandar dla Radżkotu, by zostać członkiem Trybunału w Radżasthanie. Zostałem tam oddany do szkoły i doskonale pamiętam zarówno te czasy, jak i nazwiska oraz wszelkie inne szczegóły dotyczące moich nauczycieli. Podobnie jak było w Porbandarze, tak i tutaj niewiele da się powiedzieć o mojej nauce. Byłem zaledwie przeciętnym uczniem. Z tej szkoły przeszedłem do podmiejskiej, a następnie do liceum – miałem już wtedy dwanaście lat. Nie przypominam sobie, abym w ciągu tego niedługiego okresu powiedział kiedykolwiek nieprawdę moim nauczycielom bądź kolegom. Byłem bardzo nieśmiały i unikałem towarzystwa. Książki i odrabianie lekcji zastępowały mi kolegów. Moim zwyczajem na co dzień było punktualnie przychodzić do szkoły, a później po skończeniu lekcji wracać co żywo do domu. Dosłownie biegłem ile sił, gdyż nie miałem dość śmiałości, by się odezwać słówkiem do kogokolwiek. Bałem się, że ktoś może sobie ze mnie zakpić.

W pierwszym roku uczęszczania do gimnazjum przytrafiło mi się podczas egzaminów pewne wydarzenie, o którym warto wspomnieć. Mister Gilles, inspektor oświaty, przybył na wizytację do naszego liceum. Dał nam pięć wyrazów, które mieliśmy napisać i wymawiać litera po literze. Jednym z tych wyrazów był *kettle* (czajnik). Literowałem go błędnie. Nauczyciel usiłował przyśpieszyć moją odpowiedź, szturchając mnie końcem bucika, ale mu się nie udało. Nie zorientowałem się, że nauczyciel daje mi do zrozumienia, abym sięgnął prawidłową pisownię z tabliczki mego sąsiada, przeciwnie – sądziłem, że obecność nauczyciela ma na celu przeszkodzenie nam w ściąganiu jeden od drugiego. Rezultat był taki, że wszyscy chłopcy prócz mnie napisali każdy wyraz całkiem prawidłowo. Tylko ja byłem tępy. Nauczyciel usiłował później oduczyć mnie tego braku bystrości, ale ja nigdy nie nauczyłem się ściągać.

To zdarzenie nie zdołało jednak w żadnym stopniu pomniejszyć szacunku, jaki żywiłem dla mego nauczyciela. Z reguły byłem ślepy na błędy popełniane przez starszych. Później poznałem wiele innych słabych stron tego nauczyciela, jednak moje poważanie dla niego nie uległo zmianie. Nauczyłem się bowiem wykonywać rozkazy wydawane przez starszych i nie krytykować ich postępków.

Dwa inne wydarzenia związane z tym samym okresem pozostały na zawsze w mojej pamięci. Z reguły nie lubiłem czytania jakichkolwiek innych książek poza podręcznikami szkolnymi. Moje codzienne lekcje musiały być sumiennie

odrobione, gdyż tak samo nie lubiłem zbyt obciążać mego nauczyciela, jak i sprawiać mu zawodu. Dlatego też odrabiałem lekcje, ale rzadko poświęcałem im zbyt wiele uwagi. Toteż nawet kiedy lekcje nie były odrobione jak należy, nie było mowy o tym, abym przeczytał coś więcej poza tym, co było zadane.

Pewnego jednak razu wzrok mój padł na książkę kupioną przez mego ojca. Była to *Shravana Pitribhakti Nataka* (sztuka teatralna o przywiązaniu Śrawany do swych rodziców). Przeczytałem ją z ogromnym zainteresowaniem. W tym samym czasie do zamieszkiwanej przez nas miejscowości przybyli wędrowni aktorzy. Jedno z przedstawień, które widziałem, ukazywało Śrawanę dźwigającego ślepych rodziców przywiązanych rzemykami, kiedy odbywał wraz z nimi pielgrzymkę. Zarówno książka, jak i przedstawienie wywarły na mnie niezatarte wrażenie.

– Oto przykład do naśladowania! – powiedziałem do siebie.

Rozdzierające zawodzenia rodziców nad martwym ciałem Śrawany wciąż są świeże w mojej pamięci. Tkliwa melodia wzruszyła mnie głęboko, wygrywałem ją na „concertinie”, którą kupił mi ojciec.

Przytrafiło się jeszcze jedno podobne wydarzenie, mające związek z innym przedstawieniem. W tym oto czasie otrzymałem zezwolenie ojca na zobaczenie przedstawienia odgrywanego przez zespół aktorów dramatycznych. Sztuka ta, nosząca tytuł *Hariścandra*²², podbiła moje serce. Mógłbym na nią patrzeć bez końca. Lecz czyż często mogłem otrzymać pozwolenie na oglądanie jej? Musiałem więc niezliczoną ilość razy odgrywać ją dla siebie samego.

„Czemu – zapytywałem siebie dniem i nocą – wszystko nie jest tak samo prawdziwe jak dla Hariścandy?”

Postępować zgodnie z prawdą i przejść przez te wszystkie próby, jakim poddał się Hariścandra – oto co było przyświecającym mi ideałem. Uwierzyłem dosłownie w dzieje Hariścandry. Sama myśl o nim przyprawiała mnie o łzy. Mój zdrowy rozsądek powiada mi dziś, że Hariścandra nie mógł być postacią historyczną. Jednak obaj – Hariścandra i Śrawana – są dla mnie żyjącymi postaciami i jestem przekonany, że gdybym dziś przeczytał te sztuki, byłbym tak samo głęboko wzruszony jak wtedy.

22 *Hariścandra* – bardzo popularna legenda w Indiach, przedstawia króla Hariścandrę, męczennika prawdy.

III. MAŁŻEŃSTWO DZIECIĘCE



ie mam zbyt wielkiej ochoty do napisania tego rozdziału i wiem, że w trakcie tej opowieści będę miał niejedną gorzką pigułkę do przełknięcia. Nie mogę jednak postąpić inaczej, jeżeli chcę uchodzić za człowieka, który przede wszystkim uznaje prawdę. Obowiązkiem, który mi sprawia sporo przykrości, jest opowiedzenie, jak wstąpiłem w związki małżeńskie, mając trzynaście lat.

Kiedy patrzę na młodzież mającą tyleż, co ja wtedy, lat, a pozostającą dziś pod moją opieką, wzbiera we mnie uczucie litości dla siebie samego oraz cieszę się z tego, że oni uniknęli losu, który mnie spotkał. Nie widzę żadnego moralnego argumentu na poparcie potrzeby zawierania tych zdecydowanie przedwczesnych małżeństw.

Chcę jednak ustrzec czytelników przed popełnieniem błędu: zostałem ożeniony, nie zaś zaręczony. Gdyż w Katiawadzie przestrzegane są dwa różne obyczaje: zaręczyny i małżeństwo. Zaręczyny są uprzednim przyrzeczeniem ze strony rodziców chłopca i dziewczyny, iż oboje zawrą związek małżeński, przy czym przyrzeczenie to nie jest nienaruszalne. Śmierć chłopca nie czyni wdową dziewczyny. Jest to porozumienie zawarte wyłącznie pomiędzy rodzicami i dzieci nie mają z nim nic wspólnego. Często nie są nawet o tym powiadamiane. Okazuje się, że – nic nie wiedząc o tym – byłem trzykrotnie zaręczony. Opowiedziano mi, że dwie dziewczyny, które zostały wybrane dla mnie, umarły jedna po drugiej, stąd też wiem, że byłem trzy razy zaręczony. Natomiast jak przez mgłę przypominam sobie, że obrządek moich trzecich zaręczyn odbył się, kiedy miałem siedem lat. Nie pamiętam jednak, by mnie o tym powiadomiono.

W niniejszym rozdziale opowiadam o swoim małżeństwie, którego dzieje najdokładniej sobie przypominam.

Wypada jeszcze raz nadmienić, że było nas trzech braci. Najstarszy był już żonaty. Rodzina postanowiła ożenić jednocześnie średniego brata, który był starszy ode mnie o dwa, trzy lata, naszego kuzyna, starszego mniej więcej o rok, i mnie. Przy powzięciu podobnej decyzji bynajmniej nie brano pod uwagę, czy to będzie z korzyścią dla nas, jeszcze mniej liczono się z naszą wolą – była to po prostu sprawa wygodna dla rodziny, no i pewna oszczędność.

Małżeństwa wśród hindusów nie są czymś prostym. Bardzo często rodziny narzeczonej i narzeczonego doprowadzają się przez nie do ruiny. Traci się majątek, marnuje czas. Przygotowania trwają nieraz całe miesiące – chodzi o szycie

strojów i ozdób, o gromadzenie środków na ucztę weselną. Jedni starają się prześcignąć drugich liczbą i różnorodnością przygotowanych potraw. Kobiety obdarzone głosem, czy też nie, ćwiczą się w śpiewie aż do zachrypnięcia, czasami nawet zapadają na zdrowiu i zakłócają spokój swoim sąsiadom. Ci z kolei spokojnie znoszą wszystkie niewygody i wrzaski, wszystkie brudy i nieporządki, wiedząc, że przyjdzie czas, kiedy oni sami będą musieli zachować się w podobny sposób.

Toteż dorośli w mojej rodzinie byli zdania, że najlepiej będzie, jeżeli załatwią to wszystko za jednym zamachem. Wydatki będą mniejsze, a efekt – większy. Łatwiej jest bowiem narazić się na wydatki, skoro się wie, że będą jednorazowe, a nie trzykrotne. Mój ojciec i stryj byli już starzy, a my byliśmy ostatnimi ich dziećmi, które należało ożenić. Możliwe również, że chcieli po raz ostatni w życiu zabawić się jak należy. Wszystkie te względy zdecydowały więc o tym, że miała się odbyć potrójna uroczystość weselna i – jak już wcześniej powiedziałem – przygotowania do niej trwały od paru miesięcy.

Otóż jedynie dzięki tym przygotowaniom my, chłopcy, zostaliśmy zawczasu powiadomieni o zbliżających się wydarzeniach. Nie sądzę, by wtedy oznaczało to dla mnie coś ponad perspektywę otrzymania nowego odzienia, walenia w bęben, uczestniczenia w pochodzie weselnym, wzięcia udziału w obfitych ucztach weselnych i pozyskania obcej mi dziewczyny do zabawy. Cieleśne potrzeby przyszły później. Chciałbym właściwie ukryć za kurtyną uczucie wstydu, jakiego wtedy doznawałem, podając jedynie parę szczegółów zasługujących na to, by o nich opowiedzieć. Wróć zresztą do nich później, chociaż one również mają mało wspólnego z zasadniczym celem, dla którego podjąłem się opisanie całego tego wydarzenia.

A więc mój brat i ja zostaliśmy przywiezieni z Radżkotu do Porbandaru. Przytrafiło się również parę zabawnych szczegółów poprzedzających moment kulminacyjny obchodu, jak między innymi to, że wysmarowano nam całe ciało wonnymi olejkami, sporządzonymi z żółcienia – ale wolę raczej pominąć te szczegóły.

Chociaż mój ojciec był diwanem, jednak był sługą państwa, tym bardziej że cieszył się względami thakore saheba, a ten nie chciał mu aż do ostatniej chwili pozwolić wyjechać. Kiedy wreszcie przystał na to, kazał sporządzić dla mego ojca specjalne furgony, dzięki czemu podróż została skrócona o dwa dni. Los chciał jednak, by się stało inaczej. Porbandar jest odległy od Radżkotu o sto dwadzieścia mil, podróż końmi trwa pięć dni. Mój ojciec odbył ją wprawdzie w ciągu trzech, ale powóz wpadł na trzeci furgon i ojciec został ciężko poraniony. Na miejsce przybył cały obandażowany.

Zarówno jego, jak i nasze zainteresowanie nadchodzącymi wydarzeniami osłabło, ale uroczystości weselne musiały się odbyć. Czyż można było odłożyć datę ślubu? Jednak w swojej chłopięcej ucieście z racji mającego się odbyć wesela zapomniałem o smutku, jaki powinny były we mnie wzbudzić obrażenia mego rodziciela.

Wprawdzie byłem bardzo przywiązany do moich rodziców, ale nie mniejszą przyjemność sprawiały mi wszelkie uciechy cielesne. Dopiero później dane mi było poznać, że szczęście i wszelkie przyjemności winny być złożone w ofierze i zastąpione czią dla rodziców. I oto, jak gdyby kara za moje pragnienie uciech, przytrafiło się coś, co na całe życie pozostało w mojej pamięci i o czym opowiem później.

Niszkulanand²³ śpiewa: „Wyrzeczenie się przedmiotów bez wyrzeczenia pragnień ma krótki żywot, choćbyś nie wiem jak mocno do tego dążył...”. Ilekroć sam śpiewam tę pieśń lub słyszę, jak ją śpiewają, w mojej pamięci uparcie powraca to przykre wydarzenie i napełnia mnie uczuciem wstydu.

Mimo odniesionych obrażeń mój ojciec zachował się bardzo dzielnie i wziął udział we wszystkich uroczystościach weselnych. Dziś jeszcze, kiedy o tym pomyślę, widzę miejsce, na którym siedział podczas różnych faz obchodzonej uroczystości. Anim przypuszczał wtedy, że nadejdzie dzień, gdy będę surowo osądzał mego ojca za to, że ożenił mnie, jeszcze dziecko, ale wtedy wszystko wydawało mi się w największym porządku, właściwe i zabawne. Zresztą, sam miałem wtedy ogromną ochotę ożenić się, a wszystko, cokolwiek czynił naonczas mój ojciec, nie mogło podlegać żadnym zastrzeżeniom.

Wszystko to żywo zachowało się w mojej pamięci. Dziś jeszcze widzę siebie, jak siedzimy na naszym weselnym tronie, jak wykonujemy ceremoniał *Saptapadi*²⁴, jak my, nowo poślubieni małżonkowie, kładziemy sobie wzajemnie do ust kawałki słodkiego kansaru²⁵, jak rozpoczynamy wspólne pożycie. I – ach! – ta pierwsza poślubna noc! Dwoje niewinnych dzieci wbrew swojej woli zostało rzuconych w ocean życia. Żona mojego brata pouczyła mnie, jak mam się zachować w pierwszą noc poślubną. Nie wiem, kto uświadomił moją żonę. Nigdy jej o to nie pytałem ani nie mam zamiaru czynić tego obecnie. Czytelnik może być pewny, że oboje byliśmy zbyt zdenerwowani, by móc spojrzeć na siebie.

23 Niszkulanand – poeta piszący w języku gudżarati, żyjący na początku XIX w.

24 *Saptapadi* – siedem kroków, jakie narzeczeni wykonują razem, składając równocześnie ślubowanie wierności i oddania.

25 *Kansar* – placek pszenny, który nowo poślubieni spożywają po zakończeniu uroczystości.

Byliśmy poza tym ogromnie nieśmiali. Jak przemówić do niej i co jej powiedzieć? Całe uprzednie pouczenie niewiele mi się przydało, gdyż w takich przypadkach raczej przydaje się brak wszelkich pouczeń. Świadomość tego, w jaki sposób przyszliśmy na świat, czyni wszelkie uświadamianie zgoła zbytecznym. Stopniowo coraz lepiej poznawaliśmy się nawzajem, rozmawialiśmy ze sobą bez skrępowania. Byliśmy w jednym wieku. Nie uczyniłem jednak nic, by zapewnić sobie autorytet małżonka.

IV. ZABAWA W „MAŁŻONKA”



niej więcej w tym samym czasie, kiedy wstąpiłem w związek małżeński, ukazały się niewielkie broszury, w cenie jednej piastry (nie pamiętam dokładnie), w których omawiano sprawy miłości małżeńskiej, oszczędności, małżeństw zawieranych w wieku dziecięcym lub podobne tematy. Ilekroć wpadły mi w ręce, czytałem je od deski do deski. Przywykłem zapominać o tym, czego nie lubiłem, i wprowadzać w czyn to, co mi odpowiadało. Zawarta w tych książeczkach dozogonna wierność żonie, jako jeden z obowiązków małżonka, pozostała w moim sercu na zawsze. Ponadto żywiłem niepokonywane umiłowanie prawdy, a jakiegokolwiek uchybienie jej było dla mnie czymś wręcz nie do pomyślenia. Zresztą, w tym wczesnym okresie życia było bardzo niewiele sposobności, bym mógł nie dochować jej wiary.

Owa lekcja wierności miała jednak również swoje nieprzewidziane skutki „Jeżeli – mówiłem do siebie – nawołuje się mnie, bym dochował wierności mojej żonie, winno się i ją wezwać, by mi była wierna”. Te myśli uczyniły ze mnie zazdrosnego małżonka. Obowiązki ciężące na mojej żonie zamieniły się we mnie w prawo domagania się od niej wierności i jeżeli chciałem obstawać przy tym prawie, musiałem pilnie i uparcie stać na jego straży. Nie miałem wprawdzie najmniejszego powodu, by podejrzewać moją żonę o wiarołomstwo, ale zazdrość nie czeka na dowody. Musiałem bacznie pilnować każdego jej kroku, nie wolno jej było wychodzić gdziekolwiek bez mojego pozwolenia. Stało się to powodem gorzkich sprzeczek pomiędzy nami.

Ograniczenie swobody poruszania się było – właściwie mówiąc – więzieniem, a Kasturbai nie była dziewczyną, która by się zgodziła znosić coś podobnego. Kategorycznie zażądała dla siebie prawa wychodzenia, kiedy będzie chciała i do kąd zechce. Im bardziej ograniczałem jej swobodę poruszania się, tym większej

domagała się dla siebie wolności, a ja coraz bardziej sprzeciwiałem się temu. I oto my, dwoje poślubionych sobie dzieci, przywykliśmy całymi dniami nie zamieniać ze sobą słowa.

Sądzę, że stawianie przez Kasturbai żądań udzielenia jej wolności, wobec stosowanych przeze mnie ograniczeń, było rzeczą wręcz niewinną. Jakże mogła dziewczyna pozbawiona wszelkiej przebiegłości ulegać zakazom chodzenia do świątyni lub odwiedzania przyjaciół? Jeżeli ja uzurpowałem sobie prawo zabrania jej czegokolwiek, czemu jej nie miały przysługiwać te same prawa? Dziś to wszystko jest dla mnie oczywiste, ale wtedy chodziło mi przede wszystkim o zdobycie autorytetu „małżonka”.

Niech jednak czytelnicy nie sądzą, że życie nasze składało się wtedy z samych przykrości... Cała moja surowość miała przecież swe źródło w miłości. Pragnąłem uczynić z mej żony idealną małżonkę. Idealem moim było stworzenie dla niej życia pełnego prawości, nauczanie jej tego, czego się sam uczyłem, wreszcie upodobnienie jej życia i myśli do moich.

Nie jestem pewien, czy Kasturbai miała podobne ambicje. Była analfabatką. Była prosta, miała niezależne, konsekwentne usposobienie, a wobec mnie była małomówna. Brak wykształcenia nie przygnębiał jej i nie przypominam sobie, by moje studia kiedykolwiek dodawały jej ochoty zakosztowania tego samego. Mam jednak wrażenie, że wszystkie moje ówczesne ambicje były dość jednostronne i koncentrowały się w jednym kierunku, a mianowicie widziałem w mojej żonie jedynie kobietę i pragnąłem tylko wzajemności. Jeżeli jej nawet nie było, nie stanowiło to dla mnie nieszczęścia, a to dlatego, że przynajmniej jedna strona była pochłonięta czynną miłością.

Muszę przyznać, że kochałem ją namiętnie. Nawet w szkole nie przestałem myśleć o niej, a świadomość tego, że oto znów zapadnie noc i będziemy razem, nie opuszczała mnie ani na chwilę. Rozłąka była nie do zniesienia. Przywykłem rozmawiać z nią do późnej nocy, a gdyby tej pożerającej mnie namiętności nie towarzyszyło jednocześnie nieugięte poczucie ciężących na mnie obowiązków, byłbym niewątpliwie albo wpadł w chorobę i umarł przedwcześnie, albo zaczął prowadzić życie pełne udręki. Wszakże z góry powzięte, codzienne zobowiązania musiały być spełniane każdego ranka, a oszukiwanie przeze mnie kogokolwiek w ogóle nie wchodziło w rachubę. To właśnie uchroniło mnie od wielu czyhających na mnie pułapek.

Powiedziałem już, że Kasturbai była analfabatką. Bardzo pragnąłem uczyć ją, ale moja miłość pełna pożądania nie pozostawiała mi na to czasu. Nauka

musiała jednak mieć miejsce, nawet wbrew jej woli, często w nocy. Nie śmiałem spotykać się z nią w obecności osób starszych, a tym bardziej rozmawiać z nią w ciągu dnia. W Katiawadzie obowiązywał w owych czasach, a nawet istnieje obecnie, swoisty i barbarzyński zwyczaj *pardah*²⁶. Okoliczności były więc nie-sprzyjające temu. Muszę jednak wyznać, że większość moich wysiłków uczenia Kasturbai, gdy oboje byliśmy jeszcze młodzi, się nie powiodła. Kiedy zaś ochłonałem z mocy zmysłów, którym ulegałem, wpadłem zaraz w wir życia społecznego, które pozostawiało mi bardzo mało wolnego czasu. Nie udało mi się również nauczyć jej czegokolwiek za pośrednictwem prywatnych nauczycieli i w rezultacie Kasturbai z trudem potrafi dziś skreślić parę nieskomplikowanych liter i czyta jedynie najprostsze słowa języka gudżarati. Jestem przekonany, że gdyby moja miłość dla niej nie miała tak bardzo zmysłowego charakteru, moja żona byłaby dziś wykształconą kobietą. Potrafiłbym przemóc jej niechęć do nauki, bo nie ma przecież rzeczy niemożliwych dla prawdziwej miłości.

Wspomniałem tylko o jednej okoliczności, która w mniejszym lub większym stopniu ocaliła mnie od katastrofy popadnięcia w odmęty wyłącznie zmysłowej miłości. Warto jednak dodać do tego jeszcze jedno słowo. Liczne przykłady przekonały mnie, iż Bóg ocala w końcu tego, kto kieruje się prawymi pobudkami.

Obok okrutnego zwyczaju zawierania ślubów pomiędzy dziećmi, w społeczeństwie indyjskim istnieje jeszcze inny obyczaj, który do pewnego stopnia pomniejsza zło wyrządzane przez poprzedni. Oto rodzice nie pozwalają młodym małżeństwom na zbyt długie przebywanie razem. Żona – prawie dziecko – przeważną część czasu spędza u boku swego ojca. Podobnie było z nami. Czyli można powiedzieć, że w ciągu pierwszych pięciu lat naszego małżeństwa – a więc od trzynastego do osiemnastego roku życia – razem spędziliśmy najwyżej trzy lata. Nie minęło sześć miesięcy, kiedy byliśmy razem, a już przychodziło wezwanie ze strony rodziców mojej żony, by powróciła do nich. Wtedy te wezwania były niepożądane, ale one ocaliły nas oboje.

Kiedy miałem osiemnaście lat, wyjechałem na studia do Anglii, co oznaczało długi i zbawienny dla mego zdrowia okres rozłąki. Nawet po moim powrocie z Anglii rzadko byliśmy razem dłużej niż sześć miesięcy. Musiałem być w ciągłych podróżach pomiędzy Radżkotem a Bombajem. Później zostałem

26 *Purdah* – słowo pochodzenia perskiego, oznacza zasłonę. W Indiach panował zwyczaj zamykania kobiet w oddzielnej części domu, co oznaczało separację od życia zewnętrznego, będącego udziałem wyłącznie mężczyzn. Oznaczało to także noszenie zasłon przez kobiety.

wezwany do Afryki Południowej i ta okoliczność ostatecznie uwolniła mnie od potrzeby zaspokajania pożądań cielesnych.

V. W LICEUM

Powiedziałem już, że kiedy się ożeniłem, byłem uczniem liceum. Wszyscy trzej moi bracia chodzili do tej samej szkoły. Najstarszy był oczywiście o parę klas wyżej od reszty, a średni brat, ten, który jednocześnie ze mną wstąpił w związek małżeński, był tylko o jedną klasę wyżej ode mnie. Dla każdego z nas małżeństwo oznaczało stratę jednego roku w nauce szkolnej. Dla jednego z moich braci skutki były jeszcze gorsze, gdyż w ogóle zrezygnował z dalszej nauki. Któż zdoła obliczyć, ilu młodzieńców uległo tej samej co on pokusie. Dopiero obecnie w naszym społeczeństwie nauka i małżeństwo mogą iść w parze.

Kontynuowałem więc naukę. W liceum nie uważano mnie za tępego i zawsze cieszyłem się względami nauczycieli. Każdego roku posyłano rodzicom ocenę moich postępów w nauce i mojego sprawowania. Dostawałem nawet nagrody, przechodząc do następnych oddziałów. W czwartym i szóstym otrzymałem stypendia: jedno wynosiło cztery rupie, drugie – dziesięć, które raczej zawdzięczam sprzyjającemu mi szczęściu aniżeli posiadanym wiadomościom.

Stypendia nie były dostępne dla wszystkich, lecz zarezerwowane jedynie dla najlepszych uczniów, pochodzących z okręgu Sorath w Katiawadzie. W owych zaś czasach w klasach liczących od czterdziestu do pięćdziesięciu uczniów nie było takich wielu.

O ile sobie przypominam, nie miałem zbyt wysokiego mniemania o własnych zdolnościach. Często byłem nawet szczerze zdziwiony, otrzymując nagrody i stypendia. Zazdrośnie jednak stałem na straży własnej godności. Najmniejsza uraza wyciskała mi łzy z oczu. Było dla mnie czymś nie do zniesienia, gdy zasłużyłem lub, zdaniem nauczyciela, zasługiwałem na naganę. Przypominam sobie, że kiedyś zostałem wychłostany. Nie tyle chodziło mi o sam fakt ukarania mnie, ile o to, że uważano, jakobym na nie zasłużył. Zalewałem się łzami. Przytrafiło się to, kiedy byłem w pierwszym lub drugim oddziale. Drugi podobny wypadek miał miejsce, kiedy byłem w siódmym. Dyrektorem szkoły był wtedy Dorabdzi Eduldzi Gimi. Cieszył się dużą popularnością wśród uczniów, chociaż surowo przestrzegał dyscypliny, był nieugięty, a jednocześnie był dobrym nauczycielem. Za jego

sprawą gimnastyka oraz gra w krykieta były obowiązkowe dla uczniów starszych oddziałów. Nie lubiłem ani gimnastyki, ani krykieta. Nigdy nie brałem udziału w żadnych ćwiczeniach, grach w krykieta lub piłkę nożną, zanim te zajęcia nie zostały uznane za przymusowe.

Wrodzona nieśmiałość była przyczyną, dla której trzymałem się na uboczu, co – jak to obecnie widzę – było błędem z mojej strony. Ulegałem wówczas mylnemu przeświadczeniu, że gimnastyka nie ma nic wspólnego z nauką. Dziś rozumiem, że trening fizyczny powinien w wychowaniu zajmować tyleż miejsca, co umysłowy. Muszę jednak zaznaczyć, że powodem, dla którego nie brałem udziału w ćwiczeniach fizycznych, bynajmniej nie był mój zły stan zdrowia. Powód leżał gdzie indziej: przeczytałem w książkach o pożytku, jaki przynoszą długie spacerowanie na świeżym powietrzu, a wobec tego, że to mi odpowiadało, nabrałem przyzwyczajenia do odbywania długich przechadzek, co mi pozostało aż do dziś. Te długie przechadzki ogromnie mnie zahartowały.

Innym powodem tego, że nie znosiłem gimnastyki, było moje gorące pragnienie pielęgnowania ojca. Zaraz po skończonych zajęciach w szkole biegłem do domu i zabierałem się do obsługiwanie go. Raczej ten rodzaj zajęcia skłonny byłem uważać za obowiązkowe ćwiczenia. Zwróciłem się z prośbą do dyrektora szkoły, mister Gimiego, o zwolnienie mnie z ćwiczeń gimnastycznych, abym miał czas na pielęgnowanie ojca. Ale dyrektor nie chciał mnie wysłuchać. Otóż przytrafiło się pewnej soboty, kiedy zajęcia szkolne kończyły się z rana, że powinienem być o czwartej po południu wrócić z domu do szkoły na owe ćwiczenia gimnastyczne. Nie miałem zegarka, a zachmurzone niebo wprowadziło mnie w błąd. Zanim przybiegłem do szkoły, wszyscy chłopcy już się porozchodzili.

Następnego dnia mister Gimi, przeglądając listę, spostrzegł, że byłem nieobecny. Kiedy mnie zapytał o przyczynę, odpowiedziałem mu, dlaczego tak się stało. Dyrektor nie chciał mi jednak uwierzyć i kazał mi zapłacić karę w wysokości jednego czy też dwóch ann²⁷ (nie przypominam sobie dokładnie). Byłem więc oskarżony o to, że kłamię! Cierpiałem z tego powodu ogromnie. W jaki sposób udowodnić, że jestem niewinny? Nie było na to sposobu. Płakałem z gniewu. Zrozumiałem wtedy, że człowiek dbający o prawdę musi jednocześnie być uważny. Był to pierwszy i ostatni przykład mojego niedbalstwa w szkole. Słabo sobie przypominam, co wygrałem na tym, że kara została mi darowana. Ostatecznie uzyskałem zwolnienie z ćwiczeń gimnastycznych, ale dopiero

27 Anna – 1/16 część rupii.

po wystosowaniu przez mego ojca własnoręcznego pisma do dyrektora szkoły, w którym zawiadomił go, że życzy sobie, abym zaraz po skończonych lekcjach wracał do domu.

Pomimo jednak, że nie byłem jednym z najgorszych uczniów zaniedbujących owe ćwiczenia gimnastyczne, wszystkie kary, jakie miały spadać na innych opieszalszych uczniów, stałe skupiały się na mnie.

Nie wiem, jaką drogą doszedłem do przeświadczenia, że ładny charakter pisma nie jest konieczny do wykształcenia, pozostało mi ono jednak aż do czasu, kiedy wyjechałem do Anglii. Kiedy znacznie później, zwłaszcza w Afryce Południowej, zobaczyłem piękne, wykaligrafowane pismo adwokatów i młodzieży urodzonej i wychowanej na miejscu, czułem się głęboko zawstydzony i ogromnie żałowałem własnego niedbalstwa. Zrozumiałem, że brzydkie pismo powinno się uważać za dowód niedoskonałości otrzymanego wykształcenia. Usiłowałem je później poprawić, ale już było za późno. Nigdy nie zdołałem odrobić tego, co zostało przeze mnie zaniedbane w młodości.

Niechże mój przykład będzie przestrogą dla każdego młodzieńca i dziewczyny – powinni zrozumieć, że wyraźne i ładne pismo jest nieodzowną częścią wykształcenia. Jestem obecnie zdania, że zanim dzieci zaczną się uczyć pisać, powinny się nauczyć rysować. Niech dziecko nauczy się odróżniać kształt liter, podobnie jak uczy się rozróżniania odmiennych kształtów różnych przedmiotów. Dopiero wtedy będzie w stanie pisać znakomicie wyćwiczoną ręką.

Jeszcze dwa wspomnienia z moich szkolnych lat zasługują na to, by o nich opowiedzieć.

Z powodu mojego małżeństwa straciłem cały rok, a mój nauczyciel chciał, abym nadrobił stracony czas, przeskakując jedną klasę, na co zazwyczaj pozwalano jedynie wyjątkowo pilnym uczniom. Miałem za sobą tylko sześć miesięcy w trzecim oddziale licealnym i otrzymałem promocję do czwartego po egzaminach, jakie się odbyły po feriach letnich. Począwszy od czwartego oddziału, większość przedmiotów wykładano w języku angielskim. Czułem się jak rzucony na fale bezgranicznego oceanu. Geometria była dla mnie nowym przedmiotem i nie bardzo byłem w niej mocny, a wykłady w języku angielskim czyniły ją dla mnie jeszcze trudniejszą. Nauczyciel wykładał bardzo dobrze, ale nie byłem w stanie za nim nadążyć. Niekiedy całkowicie traciłem nadzieję i myślałem o tym, by powrócić do trzeciego oddziału, zdając sobie sprawę, że ambicja odrobienia dwóch lat w ciągu jednego roku szkolnego była nieco wygórowana. Ale byłoby to kompromitacją nie tylko dla mnie, ale i dla mego nauczyciela, który

licząc na moją pracowitość, wyraził zgodę na przeniesienie mnie do wyższego oddziału. Obawa sprawienia podwójnego zawodu kazała mi więc wytrwać.

Kiedy wreszcie z największym trudem przewyciężyłem trzynaste twierdzenie geometryczne Euklidesa, cała prostota tej nauki objawiła mi się naraz w sposób zgoła nieoczekiwany. Przedmiot, który wymagał jedynie zwykłego i całkowicie nieskomplikowanego rozumowania, nie mógł przedstawiać zbyt-nych trudności. Od tego czasu geometria stała się dla mnie zarówno przyjemnym, jak i łatwym przedmiotem.

Natomiast nauka sanskrytu była orzechem trudnym do zgryzienia. W geometrii nie było nic do zapamiętania, za to w nauce sanskrytu, moim zdaniem, trzeba się było uczyć wszystkiego na pamięć. Przedmiot ten zaczynano wykładać począwszy od czwartego oddziału. Jak tylko przeszedłem do szóstego, zniechęciłem się ostatecznie. Nauczyciel był bardzo wymagający, zależało mu przede wszystkim – jak mi się wydaje – na tym, aby wywierać presję na uczniów. Pomiędzy nauczycielem sanskrytu a wykładowcą języka perskiego istniał pewien rodzaj rywalizacji. Nauczyciel perskiego był bardziej wyrozumiały. Uczniowie mówili zazwyczaj między sobą, że język perski jest bardzo łatwy do nauki i że nauczyciel tego przedmiotu jest dobry i pobłażliwy dla uczniów. Owa „łatwość” skusiła mnie pewnego dnia i zostałem na lekcji perskiego. Nauczyciel sanskrytu poczuł się tym ogromnie urażony. Wezwał mnie do siebie i powiedział:

– Jak mogłeś zapomnieć o tym, że jesteś synem ojca wyznającego wiarę wisznuicką? Czyżbyś nie chciał się uczyć języka własnej wiary? Jeżeli napotykasz pewne trudności, dlaczego nie przyjdiesz do mnie? Chcę was, moich uczniów, nauczyć sanskrytu, jak tylko potrafię najlepiej. Gdy zrobisz pewne postępy, sam odnajdziesz w nim wiele niezmiernie ciekawych rzeczy. Nie zniechęcaj się. Przyjdź, mój chłopcze, znów na lekcje sanskrytu.

Dobroć nauczyciela mnie zawstydziła. Nie mogłem zlekceważyć jego życzliwości. Dziś z wdzięcznością wspominam Krysnaśankara Pandya, bo przecież gdybym się wtedy nie nauczył – wprawdzie niezbyt wiele – sanskrytu, z pewnością studiowanie naszych świętych ksiąg przychodziłoby mi ze znacznie większym trudem. Bardzo też później ubolewałem nad tym, że nie poznałem gruntowniej sanskrytu, a od tego czasu nabrałem przekonania, że każdy hinduski chłopiec lub też dziewczyna powinni znać podstawy sanskrytu.

Sądzę również, że wśród przedmiotów wykładanych w każdym liceum w Indiach powinno się zostawić dość dużo miejsca na naukę języków: hindi, sanskrytu, perskiego, arabskiego oraz angielskiego, niezależnie od nauki języka

ojczystego. Ta długa lista nie powinna nikogo przerażać. Gdyby nasze wykształcenie było bardziej systematyczne, a nasi chłopcy byli zwolnieni od obowiązku uczenia się w obcym języku wykładanych im przedmiotów, jestem przekonany, że nauka wszystkich wymienionych języków przestałaby być tak nudna, a stałaby się przyjemnością. Gruntowna znajomość jednego języka w pewnym sensie znacznie ułatwia poznanie drugiego.

W rzeczywistości bowiem języki: hindi, gudżarati i sanskryt mogą być rozpatrywane jako jeden język, a perski i arabski również jako jeden. Pomimo iż język perski należy do grupy języków aryjskich, arabski zaś do semickich, pomiędzy tymi dwoma językami istnieje bliskie pokrewieństwo, ponieważ swój główny rozwój zawdzięczają islamowi. Nie uważam natomiast urdu za wyraźnie odrębny język, gdyż przyswoił sobie gramatykę hindi, a jego słownictwo ma swe główne źródło w perskim i arabskim. Każdy więc, kto chce dobrze poznać urdu, musi znać perski i arabski, podobnie jak chcąc nauczyć się języków: gudżarati, hindi, bengali lub marathi, trzeba znać sanskryt²⁸.

VI. TRAGEDIA

Pomiędzy nielicznymi przyjaciółmi, których miałem w różnych okresach uczęszczania do liceum, zaledwie dwóch mogę nazwać bliskimi i serdecznymi. Jedna z tych przyjaźni nie trwała zbyt długo, chociaż nigdy nie wypierałem się moich przyjaciół. Tym razem mój przyjaciel wyparł się mnie, gdyż znalazłem sobie nowego. Tę ostatnią przyjaźń uważam za tragedię mego życia. Trwała długo. Zdawało mi się, że spełniam jakąś misję nawrócenia.

Chłopiec, o którym mowa, był właściwie przyjacielem mego brata. Chodzili do jednej klasy. Znałem jego wady, ale uważałem go za wiernego przyjaciela. Zarówno moja matka, jak starszy brat i moja żona, wszyscy przestrzegali mnie przed nim, twierdząc, że to dla mnie złe towarzystwo. Byłem jednak zbyt ambitny, by zwracać uwagę na przestrogi żony, a nie miałem dość odwagi, by przeciwstawić się opinii matki i starszego brata. Bronilem go jednak, mówiąc: „Wiem, że on ma wady, o których mówicie, ale nie znacie jego zalet. On mnie nie sprowadzi na błędną drogę, a moja przyjaźń z nim może go nawrócić.

28 Języki hindi, gudżarati, bengali, marathi wywodzą się z sanskrytu, podobnie jak języki romańskie wywodzą się z łaciny. Język urdu ma tę samą gramatykę co język hindi, lecz jego słownictwo jest zapożyczone w znacznej mierze z języka arabskiego i perskiego.

Jestem pewien, że jeżeli się zmieni, będzie znakomitym człowiekiem. Proszę was, bądźcie o mnie spokojni!”.

Nie sądzę, bym ich przekonał, ale zgodzili się z moimi argumentami i pozwolili mi postępować, jak będę uważał za stosowne. Przekonałem się później, że moje rachuby były mylne. Reformator nie może sobie pozwolić na utrzymywanie bliskich stosunków z kimś, kogo chce zmienić. Prawdziwa przyjaźń polega na pokrewieństwie dusz, które rzadko przytrafia się na świecie, i dlatego istotnie wartościowa i długotrwała może być przyjaźń jedynie pomiędzy dwoma naturami mającymi wiele wspólnych cech. Jeden przyjaciel oddziałuje na drugiego i dlatego też w prawdziwej przyjaźni jest tak mało miejsca na nawracanie. Jestem ponadto zdania, że należy unikać wszelkiej szczególnej intymności w stosunkach z przyjaciółmi, gdyż człowiek łatwiej przyswaja sobie wady aniżeli zalety. Ten zaś, kto pragnie utrzymywać przyjaźń z Bogiem, musi albo pozostać samotny, albo cały świat uczynić swymi przyjaciółmi.

Możliwe, że się mylę, ale moje usiłowania utrzymania bliskiej przyjaźni skończyły się niepowodzeniem.

Kiedy po raz pierwszy zbliżyłem się do owego przyjaciela, fala „reform” przelewała się przez Radżkot. Dowiedziałem się od niego, że wielu spośród naszych nauczycieli w tajemnicy je mięso i pije wino. Wymienił mi również nazwiska wielu dostojnych obywateli w Radżkocie, którzy należeli do tego samego towarzystwa. Wśród nich mieli się również znajdować, jak mi powiedział, niektórzy uczniowie miejscowego liceum.

Byłem tym ogromnie zaskoczony i boleśnie dotknięty. Zapytałem mego przyjaciela, czym należy to wytłumaczyć, a on wyjaśnił mi w następujący sposób:

„Jesteśmy słabym narodem dlatego, że nie jemy mięsa. Anglicy rządzą nami dlatego, że je spożywają. Wiesz, jaki jestem silny i jaki ze mnie doskonały biegacz – to dlatego, że ja też jem mięso. Ci, co jedzą mięso, nie miewają ani wrzodów, ani żadnych narośli, a nawet jeżeli im się czasami przytrafia – to szybko znikają. Nasi nauczyciele i inne wybitne osoby spożywające mięso nie są głupcami. Widzę, jakie to jest pożyteczne. Powinieneś robić tak samo, a zresztą, to ci nie zaszkodzi, jeżeli spróbujesz. Zobaczysz, przybędzie ci wiele siły”.

Wszystkie te namowy na rzecz jedzenia mięsa nie od razu odniosły skutek. Stanowiły temat długich i skomplikowanych argumentów, za pomocą których mój przyjaciel od czasu do czasu usiłował na mnie oddziaływać. Mój starszy brat już im uległ i potwierdzał słowa swego przyjaciela. W porównaniu z moim bratem i tym przyjacielem istotnie wyglądałem na znacznie słabszego fizycznie.

Obaj byli silniejsi ode mnie, fizycznie lepiej rozwinięci i odważniejsi. Wyczyny dokonywane przez tego przyjaciela miały dla mnie ogromny urok. Potrafił bardzo szybko przebiegać duże odległości, umiał skakać daleko i wysoko, potrafił wytrzymać każdą chłostę. Często popisывał się przede mną, a przecież zawsze jest się olśnionym, widząc w innym zalety, których się nie ma. Toteż bywałem istotnie olśniony jego wyczynami – a zatem gorąco pragnąłem stać się podobny do niego. Cóż, kiedy nie potrafiłem ani tak biegać, ani tak skakać jak on. Czemuż nie miałbym zostać równie silny? Ponadto – byłem bardzo tchórzliwy. Panicznie bałem się złodziei, wszelkich duchów, żmij. Bałem się wychylić nosa poza dom w nocy. Ciemność mnie przerażała. Usnąć w ciemnym pokoju było niemal niepodobieństwem dla mnie, gdyż wciąż wyobrażałem sobie, że oto z jednej strony zbliżają się duchy, z drugiej – złodzieje, z trzeciej – żmije. Nie mogłem zasnąć, jeżeli w pokoju nie paliło się światło.

Czy mogłem zwierzyć się z tych obaw żonie, która już przestała być dzieckiem i spała obok mnie? Wiedziałem, że jest odważniejsza ode mnie, i czułem się zawstydzony. Kasturbai nie bała się ani żmij, ani duchów. Potrafiła pójść wszędzie po ciemku. Mój przyjaciel wiedział o wszystkich moich słabościach. Opowiadał mi o tym, jak umie trzymać w ręku żywą żmiję, jak potrafi się obronić przed złodziejami i jak nie wierzy w żadne duchy. Wszystko to, rzecz oczywista, wynikało z tego, że jadł mięso.

Wśród uczniów liceum dużą popularnością cieszył się wtedy marnawy utwór napisany w języku gudżarati przez poetę Narmada²⁹. Oto jego treść:

*Spójrz, jak potężny Anglik
Rządzi małymi Indusami,
Dlatego, że żre mięso,
Ma pięć łokci wzrostu.*

Wszystko to wywierało na mnie odpowiednie wrażenie. Byłem zdruzgotany. Nabierałem coraz mocniejszego przeświadczenia, że spożywanie mięsa jest dobre, że uczyni mnie mocnym i odważnym i że gdyby ludzie w całym naszym kraju zaczęli jeść mięso, zapanowalibyśmy nad Anglikami.

Wyznaczony został zawczasu dzień, kiedy miałem zacząć spożywać mięso. Oczywiście, wszystko było zachowane w najściślejszej tajemnicy.

29 Narmad (1833–1886) – poeta i prozaik piszący w języku gudżarati.

Ród Gandhich należał do wyznawców Wisznu. Moi rodzice byli mu szczególnie oddani. Regularnie uczęszczali do *haveli*. Rodzina posiadała nawet własne świątynie. W Gudźaracie dżinizm³⁰ był bardzo silny, a jego wpływ dawał się odczuć wszędzie i przy każdej okazji. W całych Indiach nie można było się spotkać z równie ostrym sprzeciwem przeciwko spożywaniu mięsa i ze wstrętem, jaki ono budziło, jak właśnie w Gudźaracie wśród wyznawców dżinizmu i Wisznu. Takie właśnie były tradycje, wśród których się urodziłem i byłem wychowany. Trzeba dodać, że żywiłem niewypowiedzianą cześć dla moich rodziców. Zdawałem sobie sprawę, że będzie dla nich śmiertelnym ciosem, jeżeli się dowiedzą, że jadłem mięso. Ponadto moje gorące umiłowanie prawdy zwiększyło jeszcze moje skrupuły. Nie mogę również powiedzieć, abym nie wiedział, że popełnię oszustwo wobec rodziców, jeżeli zacznę jeść mięso. Ale mój umysł był całkowicie pochłonięty potrzebą dokonania „reformy”. Nie chodziło bynajmniej o przyjemność, jaką to mogło sprawić memu podniebieniu. Nie wiedziałem zresztą wcale o tym, że mam szczególnie wydelikacowany zmysł smaku. Chciałem po prostu być silny i odważny oraz pragnąłem, by wszyscy moi ziomkowie byli tacy po to, byśmy mogli pobić Anglików i przywrócić Indiom wolność.

Nie słyszałem jeszcze nigdy przedtem wyrazu *swaradź*³¹ – wiedziałem jednak, co oznacza wolność. Szał „reform” opętał mnie. Zapewniwszy sobie tajemnicę, przekonałem sam siebie, że ukrycie tego wydarzenia przed rodzicami nie będzie właściwie odejściem od prawdy.

VII. TRAGEDIA (CIAĞ DALSZY)

adszedł ów dzień. Trudno dokładnie opisać, w jakim znajdowałem się stanie. Z jednej strony było gorące pragnienie dokonania jakiejś odmiany w życiu i rozpoczęcia czegoś zgoła nowego, z drugiej – uczucie wstydu, gdyż jak złodziej musiałem się kryć z tym, co miałem zrobić, a co uważałem za słuszne. Nie potrafię powiedzieć, które z tych uczuć przeważało we mnie.

Udaliśmy się na poszukiwanie bezludnego miejsca nad rzeką i wtedy po raz pierwszy w życiu zobaczyłem mięso. Była też przy nim kromka białego chleba.

30 Dżinizm – religia hinduska, jeden z wczesnych odłamów braminizmu.

31 *Swaradź* – autonomia, niezawisłość.

Ani jedno, ani drugie mi nie smakowało. Mięso kozy było twarde jak skóra. Po prostu nie byłem w stanie go ugryźć. Zemdlilo mnie i musiałem przestać jeść.

Noc, którą spędziłem potem, była okropna. Jakieś okropne koszmary męczyły mnie przez cały czas. Ilekroć zasypiałem, zdawało mi się, że żywa koza beczy tuż obok, wyrzuty sumienia tak mnie dręczyły, że gotów byłem wyskoczyć z łóżka, ale wtedy przekonywałem sam siebie, że spożywanie mięsa jest moim obowiązkiem, i jakoś się uspokajałem.

Mój przyjaciel nie był człowiekiem skłonny do szybkiej rezygnacji. Zabrał się do przyrządzania różnych przysmaków z mięsa i podlewania ich sosami. Jako jadalnia nie służył nam już bezludny brzeg rzeki, lecz gmach rządowy z salą jadalną, stołami, fotelami. Wszystko to zostało zaaranżowane przez mojego przyjaciela w porozumieniu z głównym kucharzem tej instytucji.

Przynęta odniosła skutek. Przemogłem swój wstręt do chleba oraz do koziego mięsa i stałem się wielkim smakoszem wszelkich mięsnych potraw, choć za samym mięsem nie przepadałem. Trwało to mniej więcej rok. Tych mięsnych uczt było ogółem nie więcej niż jakieś pół tuzina, a to dlatego, że nie zawsze można było dostać się do tego rządowego lokalu, a częste sporządzanie kosztownych potraw z mięsa było połączone z dość dużymi trudnościami. Nie miałem pieniędzy, by sobie pozwolić na taką „reformę” życia. Natomiast mój przyjaciel zawsze potrafił znaleźć niezbędne środki. Nie mam pojęcia, jak to robił. Miał ich zawsze pod dostatkiem, bo mu ogromnie zależało na tym, by zrobić ze mnie stałego „mięsożercę”. Widocznie jednak jego środki też musiały się wyczerpać, a tym samym owe uczty stawały się coraz rzadsze.

Ilekroć miałem sposobność pofolgować sobie podczas tych obfitych uczt, nie mogło być już mowy o tym, bym mógł zjeść obiad w domu. Matka zazwyczaj wołała mnie, bym przyszedł na posiłek, i chciała wiedzieć, dlaczego nic nie jem. W takich razach mówiłem, że nie mam apetytu lub że coś jest nie w porządku z moim trawieniem.

Nie mogę powiedzieć, abym bez skrupułów posługiwał się podobnymi pretekstami. Wiedziałem, że kłamię, co gorsza: że okłamuję matkę. Zdawałem sobie jednocześnie sprawę z tego, że gdyby rodzice się dowiedzieli, że jem mięso, byłiby tym po prostu wstrząśnięci. Świadomość tego pożerała mi serce.

Wtedy powiedziałem sobie: „Aczkolwiek spożywanie mięsa jest ważne, podobnie jak ważne jest przeprowadzenie reformy odżywiania w kraju, jednak oszukiwanie i okłamywanie rodziców jest czymś gorszym aniżeli spożywanie mięsa. Dopóki moi rodzice żyją, nie może więc być mowy o tym, bym jadł

mięso. Gdy umrą i będę wolny, będę je jadł otwarcie, ale zanim to nastąpi, powstrzymam się”.

Zakomunikowałem swe postanowienie przyjacielowi i od tego czasu nigdy już nie powróciłem do spożywania mięsa. Rodzice nigdy się nie dowiedzieli, iż ich dwaj synowie jedli mięso.

Wyrzekłem się spożywania mięsa, aby nie okłamywać rodziców, ale nie zrezygnowałem z towarzystwa przyjaciela. Moje gorące pragnienie nawrócenia go miało dla mnie katastrofalne następstwa, jednak nie zdawałem sobie z tego sprawy. Przebywanie w jego towarzystwie doprowadziłoby mnie do złamania wierności żonie. Cudem ocalałem.

Pewnego razu przyjaciel zaprowadził mnie do domu publicznego, udzieliwszy mi przedtem wszelkich niezbędnych informacji. Wszystko było z góry przygotowane i opłacone. Wszedłem w samą paszczę grzechu, lecz Bóg w swej niezmierzonej dobroci obronił mnie przede mną samym. Niemal głuchy i ślepy znalazłem się w tej jaskini występku. Siedziałem obok jakiejś kobiety na jej łóżku i nie mogłem z siebie wykrztusić ani słowa. Zniecierpliwiło to wreszcie tę kobietę, więc złorzecząc i obrzucając mnie wyzwiskami, wyrzuciła mnie za drzwi. Miałem wrażenie, że moja godność męska została srodze obrażona i gotów byłem ze wstydu zapaść się pod ziemię. Nie przestaję jednak po dzień dzisiejszy dziękować Bogu, że mnie wtedy uratował. Przypominam sobie jeszcze cztery podobne przypadki w moim życiu i za każdym razem raczej szczęśliwy traf, aniżeli jakikolwiek wysiłek z mojej strony, przychodził mi ze zbawienną pomocą.

Z etycznego stanowiska każdy z tych przypadków należy ocenić jako dowód upadku moralnego, gdyż miało się do czynienia z pożądaniem cielesnym, które oznacza tyleż co sam akt. Natomiast patrząc na te sprawy zwyczajnie, trzeba powiedzieć, że człowiek, który został fizycznie powstrzymany od popełnienia grzechu, może być uważany za ocalonego. Jeżeli chodzi o moją osobę, zostałem ocalony jedynie w tym sensie. Istnieją bowiem takie uczynki, że ocalenie przed nimi można uważać za dar nieba – zarówno dla tego, który ocalał, jak i dla tych, co nim kierowali. Z chwilą gdy człowiek odzyskuje świadomość tego, co jest słuszne, składa on dzięki Opatrzności za to, że ocalał. Wiemy, że człowiek często ulega pokusie, mimo iż się przeciwko niej broni, ale wiemy również, że Opatrzność często przychodzi mu z pomocą i wbrew woli człowieka wybawia go z niebezpieczeństwa. Dlaczego się tak dzieje, w jakim stopniu człowiek jest istotą wolną, a w jakim zależną od otaczających go warunków, jak daleko może

się posunąć na tej drodze i kiedy na scenę wkracza przeznaczenie? – Wszystko to jest owiane mrokiem tajemnicy i pozostanie nią.

Ale powróćmy do naszej opowieści. Nawet te wydarzenia nie uświadomiły mi zepsucia, jakie wynikało z przebywania w towarzystwie mego przyjaciela. Miałem zresztą sporo innych, nie mniej przykrych przykładów w zapasie, aż wreszcie naocznie przekonałem się o pewnych, zgoła niespodziewanych dla mnie, dowodach moralnego upadku mego przyjaciela. Ale o tym później – chcę zachować ciągłość chronologiczną mojej opowieści.

O pewnym wydarzeniu muszę jednak wspomnieć zaraz, tym bardziej że jest ono związane z tym samym okresem. Jednym z powodów nieporozumień, jakie wynikły pomiędzy mną a moją żoną, było niewątpliwie moje przebywanie w towarzystwie tego przyjaciela. Byłem jednocześnie oddanym i pożeranym przez zazdrość małżonkiem, a ów przyjaciel rozpałał we mnie wszelkie podejrzenia wobec mojej żony. Nigdy nie wątpiłem w prawdziwość jego słów, nigdy też nie mogłem sobie wybaczyć brutalności, jakiej się dopuszczałem wobec mojej żony, karząc ją często za przewinienia, które zgodnie z tym, co mi opowiadał mój przyjaciel, miała jakoby popełniać.

Myślę, że tylko hinduska kobieta mogła znieść te upokorzenia i zapewne tylko dlatego zawsze uważałem kobietę za uosobienie wyrozumiałości. Służący, na którego pada niezasłużone podejrzenie, porzuca swoje miejsce pracy, syn w podobnym przypadku opuszcza ojcowski dom, a przyjaciel może zerwać więzy przyjaźni. Jeżeli kobieta podejrzewa męża o wiarołomstwo, musi zachować spokój, natomiast jeżeli sama ściągnęła na siebie podejrzenia męża, jest skazana na cierpienia i nieszczęście. Dokąd bowiem ma się udać? Kobieta hinduska nie ma prawa domagać się w sądzie rozwodu. Prawo nie udziela jej żadnej pomocy.

Nigdy nie zapomnę i nie wybaczę sobie tego, że doprowadziłem moją żonę do rozpacz. Pożerający mnie robak podejrzeń został we mnie wytępiony dopiero wtedy, kiedy zrozumiałem, na czym polega ahimsa³² we wszystkich odmianach. Poznałem wtedy wielkość brahmaćarji³³ i zrozumiałem, że żona nie jest niewolnicą męża, lecz jego towarzyszką i pomocnicą, oraz że ma prawo do uczestniczenia w jego smutkach i radościach, a także, podobnie jak jej mężowi, wolno jej obrać własną drogę w życiu.

32 Ahimsa – nauka o niewyrządzaniu zła i niestosowaniu przemocy.

33 *Brahmaćarja* – dosłownie oznacza drogę wiodącą do Boga, celibat.

Ilekoć przypomnę sobie tamte mroczne dni pełne zwątpień, podejrzeń, przeklinam własne szaleństwo i okrucieństwo podyktowane pożądliwością i oplakuję moją ślepą uległość owemu przyjacielowi.

VIII. KRADZIEŻE I SKRUCHY



Chcę jeszcze opowiedzieć o paru innych przewinach, jakie popełniłem zarówno w okresie spożywania przeze mnie mięsa, jak i znacznie wcześniej, przed moim ślubem lub też po nim.

Mój krewniak i ja staliśmy się nałogowymi palaczami tytoniu. Nie znajdowaliśmy co prawda żadnej szczególnej przyjemności w paleniu ani nie pociągał nas specjalnie zapach dymu tytoniowego – po prostu podobało nam się samo wypuszczanie z ust kłębow dymu. Mój stryj był nałogowym palaczem i kiedy widzieliśmy go palącego, przyszło nam do głowy naśladować go, ale nie mieliśmy pieniędzy. Zaczęliśmy więc wykraść niedopałki papierosów pozostawione przez stryja.

Nie zawsze jednak można było upolować owe niedopałki, a ponadto nie dawały one tyle dymu. Wtedy zaczęliśmy wykraść miedziaki z kieszeni naszej służby, by móc kupować indyjskie papierosy. Problemem było to, gdzie je przechować. Nie mogliśmy też palić w obecności starszych. Jakoś nam uchodziło w ciągu paru tygodni to palenie za skradzione miedziaki. Dowiedzieliśmy się później, że łodygi niektórych roślin są porowate i nadają się do palenia. Zdobyliśmy je i zaczęliśmy palić.

Ale to nas bynajmniej nie zaspokajało. Zaczęła nas pożerać potrzeba niezależności. Już to samo, że nie wolno nam nic zrobić bez zezwolenia starszych, było nie do zniesienia. Wreszcie, zniechęceni do ostateczności, postanowiliśmy popełnić samobójstwo.

Jak jednak wprowadzić w czyn to postanowienie? Skąd wziąć truciznę? Słyszeliśmy, jakoby nasiona dhatury były trujące. Poszliśmy do dżungli na ich poszukiwanie i znaleźliśmy je. Wieczór wydawał nam się odpowiednią porą do wprowadzenia w czyn naszego zamiaru. Udaliśmy się do Kedardzi Mandir³⁴, nalaliśmy topionego bawolego masła do lampy płonącej w świątyni, dostąpiliśmy błogosławieństwa, a następnie zaczęliśmy się rozglądać za jakimś samotnym kącikiem. Zabrakło nam jednak odwagi. A co będzie, jeżeli trucizna nie

34 Kedardzi Mandir – świątynia boga Sziwy.

uśmierci nas od razu? A w ogóle, co nam z tego przyjdzie, że sobie odbierzemy życie? Dlaczego raczej nie walczyć o zdobycie większej niezależności? Przełknęliśmy jednak każdy po dwa, trzy nasiona. Nie mieliśmy odwagi połknąć więcej, każdy z nas bał się przecież śmierci, postanowiliśmy więc dla uspokojenia pójść do Ramdzi Mandir³⁵ i porzucić wszelką myśl o samobójstwie.

Wtedy zrozumiałem, że łatwiej jest myśleć o samobójstwie, aniżeli je popełnić, a gdy słyszałem, że ktoś grozi popełnieniem samobójstwa, nie robiło to na mnie zbyt wielkiego wrażenia.

Owe samobójcze myśli w rezultacie doprowadziły do tego, że obydwaj postanowiliśmy zrezygnować z palenia papierosów i wykradania służbie miedziaków na papierosy. Później, nawet gdy byłem dorosły, nigdy już nie odczuwałem chęci palenia tytoniu i zawsze uważałem ten nałóg za barbarzyński, brzydki i szkodliwy dla zdrowia. Nigdy nie mogłem zrozumieć, skąd na świecie powstał nieprzemyślany nałóg palenia, nigdy też nie byłem w stanie podróżować w przedziałach dla palących. Po prostu dusiłem się.

Znacznie poważniejsza od tych kradzieży była ta, której się dopuściłem nieco później. Owe miedziaki „ściągałem”, kiedy miałem dwanaście, trzynaście lat, a może i mniej. Następną kradzież popełniłem w wieku piętnastu lat. Tym razem skradłem trochę złota z bransoletki mego brata, tego właśnie, co to również jadł mięso. Zadłużyłem się na jakieś dwadzieścia pięć rupii. Na ręce mój brat nosił bransoletkę z prawdziwego złota. Nie było trudno odczepić z niej parę kółek.

Trudno – stało się: dług został spłacony, ale to było ponad moje siły. Przysiągłem, że nigdy więcej nic nie ukradnę, poza tym postanowiłem, że przyznam się ojcu do wszystkiego. Nie miałem jednak odwagi przemówić do niego – nie dlatego, abym się bał, że mnie zbije. Nie przypominam sobie, by ojciec kiedykolwiek uderzył któregoś z dzieci. Powstrzymywała mnie obawa przed bólem, który mogę mu sprawić. Zdawałem sobie sprawę, że muszę się na to zdobyć, bo bez przyznania się do winy nie może być oczyszczenia się z niej. Wreszcie postanowiłem, że napiszę całą mą spowiedź, wręczę ją ojcu i poproszę go, by mi wybaczył. Spisałem wszystko na świstku papieru i sam mu go podałem. Nie tylko przyznałem się do winy, lecz prosiłem o wymierzenie mi odpowiedniej kary za nią, a skończyłem, zaklinając ojca, by za moje przewinienie nie nałożył kary na siebie. Jednocześnie przysiągłem, że nigdy więcej nie popełnię żadnej kradzieży.

35 Ramdzi Mandir – świątynia boga Ramy.

Wręczając tę kartkę ojcu, dygotałem cały. Ojciec cierpiał wtedy na wrzody i leżał w łóżku, które składało się ze zwykłych drewnianych desek. Wręczyłem mu kartkę i usiadłem naprzeciw niego.

Ojciec przeczytał, a po policzkach spłynęły mu perliste łzy, które spadły na papier i go zamoczyły. Ojciec przymknął oczy, rozmyślał, ściskając w ręce kartkę. Następnie usiadł na łóżku, by jeszcze raz ją przeczytać, i znów się położył. Mnie również łzy ciekły po twarzy. Widziałem, jak ojciec cierpi. Gdybym był malarzem, potrafiłbym dziś jeszcze namalować całą tę scenę – tak żywo pozostała mi w pamięci.

Te perliste krople oczyściły moje serce i zmyły ze mnie mój grzech. Zrozumieć to potrafi jedynie ten, kto sam doznał podobnej miłości, bo – jak głoszą słowa psalmu:

*Ten jedynie,
Kogo poraził grot miłości,
Zdolen jest poznać jej moc.*

Była to dla mnie pogładowa lekcja ahimsy. Wtedy nauczyła mnie jedynie tego, czym jest miłość ojcowska, dziś wiem, że był to dowód prawdziwej ahimsy (czyli nauki o nieczynieniu nikomu zła). Gdy staje się ona wszechobejmująca, potrafi zmienić wszystko, czego się dotknie, i wtedy jej potęga nie ma granic.

Podobny rodzaj niezwyklej pobłażliwości nie był właściwy memu ojcu. Sądziłem raczej, że będzie się gniewał, mówił surowe słowa i pocierał swe czoło, ale ojciec był niezwykle łagodnie usposobiony i skłonny jestem przypisać to mojej szczerzej spowiedzi. Bo szczere przyznanie się do winy, któremu towarzyszy obietnica, iż nigdy więcej nie popełni się czegoś podobnego, jeżeli się ją składa komuś, kto ma prawo ją przyjąć, jest najczystsza formą skruchy.

Wiem, że moja spowiedź sprawiła, że ojciec nabrał do mnie całkowitego zaufania, i ponad wszelką miarę wzmogła w nim uczucie, jakie dla mnie żywił.

IX. ŚMIERĆ OJCA I MOJA PODWÓJNA HAŃBA



zasy, o których będę teraz opowiadał, dotyczą szesnastego roku mego życia. Mój ojciec, jak już o tym była mowa, nie opuszczał łóżka, chorując na wrzody. Moja matka, nasza stara służąca i ja obsługiwaliśmy chorego. Do mnie należały czynności pielęgniarki, polegające przeważnie na zmianie opatrunków, dawaniu lekarstw, a także przyrządzaniu ich, o ile to się dało zrobić w domu. Co noc masowałem mu nogi i odchodziłem tylko wtedy, kiedy ojciec kazał mi odejść lub kiedy zasnął. Lubiłem spełniać te czynności i nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek wykonywał je niedbale. Cały wolny czas, jakim rozporządzałem po spełnieniu codziennych obowiązków, był podzielony pomiędzy szkołą i pielęgnowanie ojca. Wychodziłem z domu tylko dla odbycia wieczornej przechadzki lub wtedy, gdy ojciec czuł się lepiej.

W tym też czasie moja żona spodziewała się dziecka. Był to powód, jak to sobie dziś dopiero uprzytamniam, bym się czuł podwójnie zawstydzony: po pierwsze – nie potrafiłem, jak należało, zapanować nad sobą (byłem jeszcze uczniem liceum), a po drugie – moja zmysłowość brała górę nad moimi innymi obowiązkami, a więc również nad nauką, i – co uważałem za swój najświętszy obowiązek – nad miłością dla rodziców, a przecież moim ideałem od wczesnego dzieciństwa było poświęcenie Śrawany. Każdego wieczoru, kiedy moje ręce były zajęte masowaniem ojcowskich nóg, moje myśli krążyły dokoła sypialni, przy tym działa się to w czasie, kiedy zarówno religia, jak i wiedza lekarska oraz zdrowy rozsądek zabraniają utrzymywania stosunków z żoną. Czułem się zazwyczaj nad wyraz szczęśliwy, gdy po zwolnieniu się od swych obowiązków i obsłużeniu ojca mogłem pójść wprost do naszej sypialni.

Stan zdrowia ojca pogarszał się z dnia na dzień. Lekarze posługujący się metodami ajurwedy³⁶ wypróbowali już wszystkie swoje nacierania, lekarze *hakim*³⁷ – swe plastry, a miejscowi znachorzy – swe „zamawiania”. Pewien chirurg, Anglik, również udzielił swej porady, przy czym jako jedyne wyjście zalecał operację. Nasz domowy lekarz sprzeciwił się jednak temu, twierdząc, że operacja w tak podeszłym wieku nie jest wskazana. Ów lekarz znał się na rzeczy i cieszył się dużą popularnością, toteż jego zdanie przeważało. Zaniechano operacji i zaczęto stosować niezliczoną liczbę różnych leków. Wydaje mi się, że gdyby ów

36 Lekarze posługujący się metodami ajurwedy stosują starą medycynę hinduską.

37 Lekarze *hakim* stosują medycynę muzułmańską.

lekarz zezwolił na operację, rana zaleczyłaby się łatwiej. W końcu zgodzono się na nią, miał ją wykonać pewien bardzo znany chirurg w Bombaju³⁸. Ale Bóg chciał inaczej. Gdy śmierć jest nieunikniona, któż myśli o najwłaściwszym lekarstwie? Ojciec powrócił z Bombaju, przywożąc ze sobą całą aptekę, która w obecnym stadium choroby była już bezużyteczna. Nie było nadziei utrzymania go przy życiu. Ojciec był coraz słabszy, aż wreszcie doszło do tego, że lekarze zalecili mu załatwianie wszystkich niezbędnych czynności w łóżku, ale ojciec do ostatniej chwili nie zgadzał się na to i wołał pokonywać ogromne trudności połączone z opuszczaniem łóżka. Reguły obowiązujące wyznawców Wisznu i nakazujące przestrzeganie schludności są niezłomne.

Nie ulega wątpliwości, że podobna schludność jest niezbędna, jednak wiedza lekarska Zachodu poucza, iż wszystkie czynności – nawet kąpiel – mogą być wykonywane w łóżku, bez narażania chorego na jakiekolwiek niewygody, przy czym łóżko pacjenta może pozostać nieskazitelnie czyste. Uważam tego rodzaju schludność za zgodną z kultem wisznuickim, a upór ojca opuszczającego łóżko budził we mnie jedynie podziw dla niego.

Nadeszła wreszcie owa straszliwa noc. Mój stryj przyjechał wtedy do Radżkotu, przypuszczam, że przybył po otrzymaniu wiadomości o tym, że stan zdrowia mego ojca się pogorszył. Bracia byli do siebie ogromnie przywiązani. Stryj potrafił cały dzień przesiedzieć przy łóżku mego ojca i po odesłaniu nas na spoczynek upierał się, że zostanie przy nim przez całą noc. Nikt nie przypuszczał, by ta właśnie noc miała być fatalna, aczkolwiek niebezpieczeństwo nie przeminięło.

Była godzina dziesiąta i pół w nocy lub może jedenasta. Stryj powiedział, że gotów jest mnie zluźować. Byłem z tego bardzo zadowolony i udałem się wprost do naszej małżeńskiej sypialni. Moja żona, to biedactwo, już prawie spała, ale czy mogła spać spokojnie, kiedy ja wróciłem? Obudziłem ją. Po paru zaledwie minutach służący zapukał do drzwi. „Wstań czym prędzej – mówił – ojciec jest bardzo chory!” Wiedziałem, że ojciec jest chory, ale domyśliłem się, co te słowa „bardzo chory” oznaczają w obecnej chwili! Wyskoczyłem z łóżka.

– Co się stało? Powiedz mi!

– Ojciec nie żyje...

A więc już było po wszystkim! Pozostało mi jedynie załamać ręce. Było mi straszliwie wstyd, czułem się okropnie. Pobiegłem do pokoju ojca. Uprzytomniłem sobie, że gdyby mnie nie oślepiła moja zwierzęca pożyłkowość, uniknąłbym

38 Bombaj, obecnie Mumbai.

tortur, na jakie mnie skazywało sumienie za to, że opuściłem ojca podczas ostatnich chwil jego życia. Powinienem być zostać przy nim, masować go, a umarłby na moich rękach. Ten przywilej przypadł w udziale mojemu stryjowi. Co prawda był tak bardzo przywiązany do swego starszego brata, że zasłużył na zaszczyt oddania mu ostatniej posługi. Ojciec przeczuwał zbliżającą się śmierć. Kazał sobie podać papier i pióro i nakreślił te oto słowa: „Przygotujcie ostatnie posługi”. Następnie zdjął amulet z ręki, a także złotą bransoletę z paciorkami i położył je obok siebie. Chwilę później nie żył.

Uczucie hańby, o którym mówiłem wyżej, było następstwem pożądlivosti, której pozwoliłem zapanować nad sobą w chwili, kiedy powinienem był nieustannie czuwać przy moim ojcu. Była to plama na moim sumieniu, której nigdy nie zdołałem zmyć. Zawsze sądziłem, że moja miłość dla rodziców nie ma granic i że gotów jestem w imię tej miłości uczynić wszystko, a tymczasem to uczucie nie wytrzymało próby, kiedy moje myśli w owej fatalnej chwili znalazły się w mocy moich zmysłów.

Uważałem siebie zawsze za wiernego, choć opanowanego przez zmysły małżonka. Upłynęło niemało czasu, zanim zdołałem uwolnić się z kajdan, jakie one na mnie nakładały. Musiałem dochować wierności wielu ślubowaniom, żeby zapanować nad zmysłami (namiętnościami), aż je w sobie przemogłem.

Zanim skończę ten rozdział, w którym jest mowa o tym, jak dwukrotnie okryłem się hańbą, chcę jeszcze wspomnieć, że biedne maleństwo, które wkrótce potem wydała na świat moja żona, żyło nie dłużej niż trzy lub cztery dni. Czyż można było się spodziewać czegoś innego? Niech ten przykład będzie przestrogą dla wszystkich małżeństw.

X. NIECO O RELIGII



d szóstego czy też siódmego roku życia aż do szesnastu lat, kiedy chodziłem do szkoły, uczono mnie najróżniejszych przedmiotów, wszystkiego – prócz religii. Muszę przyznać, że nie otrzymałem od swoich nauczycieli nic z tego, co mogli mi przecież dać bez żadnego z ich strony wysiłku. Tym niemniej udawało mi się tu i ówdzie uszczknąć ze swojego otoczenia coś niecoś na ten temat.

Posługuję się określeniem „religia” w szerokim sensie, mając na myśli świadomość swego istnienia lub wiedzę o sobie samym.

Jako urodzony w kulcie Wisznu, musiałem często chodzić do *haveli* (świątyni). Nigdy mnie to nie pociągało. Nie lubiłem zewnętrznego blichtru tej świątyni ani jej pompatyczności. Dochodziły mnie również słuchy o niemoralnych czynach, jakie się tam praktykowało, i w końcu zupełnie przestałem się tym interesować. Od tej pory *haveli* nic mi nie mogła dać.

To jednak, czego nie mogłem uzyskać tam, otrzymywałem od mojej piastunki, starej służącej w naszej rodzinie, o której przywiązaniu do mnie zawsze pamiętam. Wspomniałem już wcześniej, że ogromnie się bałem wszelkich duchów i zjaw. Rambha – tak nazywała się owa piastunka – poradziła mi, abym jako lekarstwo na te lęki powtarzał *Ramanamę*³⁹.

Miałem co prawda więcej zaufania do niej aniżeli do zalecanego przez nią lekarstwa i oto w bardzo wczesnym wieku zacząłem powtarzać *Ramanamę*, by wyleczyć się ze strachu przed duchami i zjawami. Oczywiście trwało to dość krótko, ale dobre ziarno posiane w dzieciństwie wydało swe plony. Sądzę, że dzięki tej dobrej kobiecie *Ramanama* stała się dla mnie dziś niezawodnym środkiem uzdrawiającym.

W tym samym czasie mój kuzyn, który był zapalonym wielbicielem *Ramajany*⁴⁰, zorganizował dla mnie i dla mego drugiego brata naukę *Ramarakszy*⁴¹. Uczyliśmy się jej na pamięć i niejako rytuałem stało się dla nas recytowanie jej każdego ranka po kąpieli. Uprawialiśmy ten zwyczaj podczas pobytu w Porbandarze. Gdy przeprowadziliśmy się do Radżkotu, zapomnieliśmy o nim, gdyż nie bardzo wierzyłem w jego skuteczność. Recytowałem te wersety, szcząc się przeważnie tym, że potrafię deklamować *Ramarakszę*, posługując się prawidłową wymową.

Odczytywanie *Ramajany* w obecności mego ojca czyniło na mnie głębokie wrażenie. Pewien okres swej choroby ojciec spędził w Porbandarze. Wtedy każdego wieczoru zwykł słuchać, jak recytowano *Ramajanę*. Recytatorem był zapalony wyznawca Ramy, Ladha Maharadża z Bileśwaru⁴². Opowiadano o nim, że uleczył siebie z trądu nie za pomocą leków, lecz przykładając do porażonych części ciała liście rośliny *bilva*⁴³, która po zerwaniu została złożona przed obrazem Mahadewy w świątyni w Bileśwarze, oraz przez systematyczne powtarzanie

39 Ramanama – imię boga Ramy; powtarzanie tego imienia ma rzekomo zdolność uzdrawiającą.

40 *Ramajana* – epos narodowy.

41 *Ramaraksza* – dosłownie obrona Ramy.

42 Bileśwar – mała wioska w rejonie Porbandaru. Znajduje się w niej znana stara świątynia.

43 *Bilva* – owoc przypominający granat, ma właściwości lecznicze.

Ramanamy. Potęga wiary miała go uczynić odpornym na choroby. Nie wiem, czy to odpowiada prawdzie, czy nie, w każdym razie myśmy bez zastrzeżeń w to wierzyli, a ciało Ladhy Maharadży, gdy rozpoczął recytowanie *Ramajany*, całkowicie uwalniało się od znaków trądu. Miał on bardzo melodyjny głos. Potrafił śpiewać *dohy* (zwrotki) i *śloki* (czterowiersze), umiał wyjaśniać ich sens, wdając się w długie rozważania i wciągając w nie swych słuchaczy.

Miałem wtedy zapewne około trzynastu lat, ale doskonale przypominam sobie, jaki byłem przejęty jego recytacjami. Posłużyło to później za podstawę głębokiego uwielbienia, jakie żywiłem dla *Ramajany*. Dziś uważam *Ramajanę* Tulasidas⁴⁴ za jedną z najznakomitszych ksiąg w dziedzinie literatury religijnej.

Parę miesięcy później przenieśliśmy się do Radżkotu. Czytanie *Ramajany* zostało przerwane, natomiast każdego dnia *ekadaśi* (jedenasty dzień w księżycowym miesiącu: pół światła i pół mroku) odczytywano *Bhagawad*⁴⁵.

Niekiedy asystowałem przy odczytywaniu, ale recytator był mało porywający. Dziś zdaję sobie sprawę, że *Bhagawad* jest księgą zdolną do wywołania zapału religijnego. Czytałem ją w języku gudżarati z najwyższym zainteresowaniem. Kiedy jednak usłyszałem podczas swojego dwudziestojednodniowego postu recytację fragmentów oryginału wykonaną przez pandita⁴⁶ Madana Mohana Malavię⁴⁷, żałowałem, iż nie było mi dane usłyszeć tego w dzieciństwie z ust takiego znawcy, co niewątpliwie już w dziecięcych latach uczyniłoby ze mnie miłośnika tej książki.

Wrażenia odebrane w tym wieku zakorzeniają się głęboko w ludzkiej duszy i dlatego nie przestaję żałować, iż nie miałem wtedy szczęścia wysłuchać odczytywania większej liczby podobnych ksiąg.

W Radżkocie otrzymałem pierwsze podstawy zalecające tolerancję wobec wszystkich odmian hinduizmu oraz pokrewnych wierzeń. Moi rodzice odwiedzali zarówno świątynie Wisznu, jak świątynie Śiwy lub Ramy i albo zabierali nas ze sobą, albo posyłali nas. Również zakonnicy dżiniści często odwiedzali mego ojca i nawet przyjmowali od nas posiłki, chociaż nie byliśmy wyznawcami dżinizmu. Prowadzili oni rozmowy z moim ojcem na tematy religijne i świeckie.

44 Tulasidas (1535–1623) – autor *Ramajany* i innych poematów.

45 *Bhagawad* – legenda o bogu Wisznu, tekst sanskrycki z X w.

46 Pandit – sanskrycki tytuł nadawany erudytom hinduistycznym oraz indyjskim profesjonalistom w jakiegokolwiek dziedzinie.

47 Madan Mohan Malaviya (1861–1946) – adwokat, działacz polityczny, obrońca kultury hinduskiej, jeden z założycieli uniwersytetu indyjskiego w Benaresie (obecnie Waranasi).

Prócz tego ojciec miał przyjaciół muzułmanów i parsów, którzy prowadzili z nim rozmowy na temat swych wierzeń, a ojciec wysłuchiwał ich zawsze z szacunkiem, a niekiedy z dużym zainteresowaniem.

Pełniąc przy ojcu czynności pielęgniarza, często miałem sposobność asystować przy podobnych rozmowach. Wiele z tego, co słyszałem, zaszczerpiło we mnie tolerancję dla wszystkich wierzeń religijnych.

Wyjątek w owym czasie stanowiło jedynie chrześcijaństwo. Rozwinęła się we mnie jakaś niechęć do niego. Skądinąd – słuszna. W owych czasach misjonarze chrześcijańscy ustawiali się zazwyczaj na najbliższym naszego liceum narożniku i lżyli zarówno hindusów, jak i czczonych przez nich bogów. Nie mogłem tego ścierpieć. Zaledwie raz przystanąłem, by posłuchać, co mówią, ale wystarczyło mi to, bym nigdy więcej tego nie powtórzył.

W tym samym mniej więcej czasie słyszałem, jak pewien bardzo znany hindus został nawrócony na chrześcijaństwo. Całe miasto mówiło wtedy o tym, jak dokonano na nim obrzędu chrztu, jak spożywa mięso i pije trunki wysokowe, jak zmienił sposób ubierania się i od tego czasu chodził w europejskim ubraniu, a nawet w kapeluszu.

Wszystko to działało mi na nerwy. Nie ulega wątpliwości – rozumowałem wtedy – że religia, która zmusza człowieka do jedzenia mięsa, picia wódki i zmiany sposobu ubierania się, nie zasługuje na miano religii. Doszły mnie również słuchy, iż ów nowo nawrócony wykpiwał wiarę swych przodków, ich obyczaje i swój kraj ojczysty. Wszystko to przyczyniało się do tego, że zdecydowanie nie lubiłem chrześcijaństwa.

To jednak, że przywykłem okazywać tolerancję dla innych religii, bynajmniej nie oznaczało, że żywiłem w duszy jakąkolwiek wiarę w istnienie Boga. Tak się złożyło, że właśnie w owym czasie zetknąłem się z kodeksem *Manusmryti*⁴⁸, znajdującym się w księgozbiórce mego ojca. Historia stworzenia świata oraz podobne rzeczy nie zrobiły na mnie wielkiego wrażenia – wręcz przeciwnie: skłoniły mnie raczej do ateizmu.

Miałem wtedy pewnego kuzyna, dziś jeszcze żyjącego, dla którego intelektu odczuwałem wielki szacunek. Do niego skierowałem się ze swymi wątpliwościami – jednak nie był on w stanie ich rozwiązać. Odesłał mnie z taką oto odpowiedzią: „Kiedy dorośniesz, sam rozwikłasz swe wątpliwości. W twoim wieku nie powinno się poruszać podobnych spraw”.

48 *Manusmryti* – rodzaj kodeksu religijnego i moralnego braminizmu (prawa *Manu*).

Umilkłem, lecz nie doznałem żadnej ulgi. Rozdziały dotyczące wstrze-
miężliwości w jedzeniu oraz inne, poruszające podobne sprawy, wydały mi się
w kodeksie *Manu* czymś sprzecznym z codzienną praktyką. Na moje wątpliwo-
ści związane z tymi zagadnieniami otrzymałem podobną odpowiedź. Wtedy
powiedziałem sobie: „Kiedy będziesz miał bardziej rozwinięty umysł i będziesz
bardziej czytany, sam to wszystko zrozumiesz...”.

W każdym razie to nie kodeks *Manu* nauczył mnie ahimsy, czyli niesprze-
ciwiania się złu i niewyrządzania nikomu krzywdy.

Opowiedziałem już o tym, jak spożywałem mięso. *Manusmryti* zdawał się
to pochwalać, wynikało z niego również, że nie jest czymś niemoralnym zabi-
janie żmij, robaków i innych żyjących stworzeń. Pamiętam, że zabijałem wtedy
robaki i wszelkie owady, uważając to za obowiązek.

Głęboko jednak zakorzeniło się we mnie przeświadczenie, iż moralność
jest podstawą wszystkiego, a prawda jest nieodzownym składnikiem wszelkiej
moralności. Toteż prawda stała się jedynym celem, do którego dążyłem. To
przeświadczenie wzrastało we mnie z każdym dniem, a moje ujmowanie istoty
prawdy coraz bardziej się rozszerzało.

Pewien pouczający wiersz, napisany w języku gudżarati, wbił mi się jedno-
cześnie w umysł i w serce. Postępować zgodnie z nim – niezależnie od tego, czy
mi to wyjdzie na dobre, czy na złe – stało się moją naczelną zasadą. To pragnienie
opanowało mnie do tego stopnia, że podjąłem szereg usiłowań w tym kierunku.
Oto te precudowne (dla mnie) strofy:

*Za wody kubek – jadłem hojnie obdarz,
Za powitanie miłe – pokłon złóż do ziemi,
Za zwykły miedziak – odplać złotem,
A jeśli ocaleć chcesz w życiu – żyj rozumnie.
Oto są słowa i czyny, jakie rozwaga dyktuje.
Każdą, najmniejszą przysługę wynagrodź stokrotnie.
Człek prawdziwie szlachetny wszystkich jednako traktuje –
I dobrem płaci za zło mu wyrządzone.*

Lgzaminy maturalne złożyłem w 1887 roku. Odbywały się one w dwóch miastach: Ahmedabadzie i Bombaju. Powszechne ubóstwo kraju zmuszało uczniów do wybierania najbliższego i najtańszego miasta. Ubóstwo mojej rodziny dyktowało mi podobny wybór. Była to moja pierwsza podróż, którą odbyłem z Radżkotu do Ahmedabadu, i w dodatku sam. Moja rodzina życzyła sobie, abym po złożeniu matury kontynuował naukę w college'u. Jeden znajdował się w Bhawnagadzie⁴⁹, drugi w Bombaju, a że pierwszy był tańszy, obrałem to miasto i wstąpiłem do Samaldas College. Zacząłem uczęszczać na wykłady, ale wkrótce poczułem się jak rzucony na fale bezbrzeżnego oceanu. Wszystko było ogromnie trudne. Nie byłem w stanie nie tylko nadążyć, ale nawet zrozumieć wykładów moich profesorów. Nie było to zresztą ich winą. Wykładowcy w tym college'u uważani byli za bardzo dobrych – to ja byłem niedouczony. Pod koniec pierwszego semestru wróciłem do domu.

W osobie Mawdżiego Dave'a, który był przebiegłym i wykształconym braminem, mieliśmy starego przyjaciela i doradcę naszej rodziny. Utrzymywał on bliskie stosunki z nami nawet po śmierci ojca. Tak się złożyło, że odwiedził nas podczas moich ferii. W rozmowie z matką i moim starszym bratem dopytywał się o moje postępy w nauce. Dowiedziawszy się, że studiuje w Samaldas College, powiedział: „Czasy się zmieniły. Żaden z was nie może mieć nadziei na dziedzictwo *gadi* (tronu) waszego ojca, jeżeli nie otrzyma właściwego wykształcenia. Wobec tego, że ten młodzieniec kontynuuje studia, powinniście wszyscy dbać o to, aby uzyskać ojcowski *gadi*. Otrzymanie stopnia B.A.⁵⁰ zajmie mu od czterech do pięciu lat, i w najlepszym razie pozwoli objąć stanowisko za pięćdziesiąt rupii, ale nie wystarczy do zostania diwanem. Jeżeli, podobnie jak mój syn, wybierze studia prawnicze, zajmie mu to jeszcze więcej czasu, a tymczasem zjawi się mnóstwo prawników, którzy będą się ubiegali o stanowisko diwana. Byłbym raczej zdania, byście go posłali do Anglii. Mój syn, Kewalram, powiada, że można tam bardzo łatwo zostać adwokatem. On wraca za trzy lata. Koszt studiów nie wyniesie więcej niż cztery do pięciu tysięcy rupii. Spójrzcie tylko na tego adwokata, który właśnie powrócił z Anglii. Jaki wytworny tryb życia prowadzi.

49 Bhawnagad – miasto i port w Katiawadzie.

50 B.A. – Bachelor of Arts, tytuł naukowy – magister.

Niechby tylko zechciał zostać diwanem, a przyznano by mu zaraz tę godność. Bardzo usilnie doradzałbym wam wysłać Mohandasa do Anglii jeszcze w tym roku. Kewalram ma licznych przyjaciół w Anglii, da mu listy polecające i wasz syn będzie miał tam wszystko ułatwione”.

*Joszidzi*⁵¹, jak przywykliśmy nazywać starego Mawdżiego Dave’a, zwrócił się do mnie z pewną siebie miną i zapytał: „Czy nie wolałbyś wyjechać do Anglii, niż studiować tutaj?”.

Niczego nie pragnąłem bardziej! Trudności, jakie mi sprawiały studia na miejscu, bardzo mnie onieśmiały, zerwałem się więc z miejsca na tę propozycję i odpowiedziałem, że im wcześniej to nastąpi, tym lepiej. Złożenie egzaminów nie było rzeczą łatwą, czy nie mógłbym więc zacząć studiować medycyny?

Brat mi przerwał: „Ojciec nigdy nie lubił medycyny. Miał właśnie ciebie na myśli, kiedy mówił, że my, wyznawcy Wisznu, nie powinniśmy mieć nic wspólnego z krajaniem trupów. Ojciec przeznaczył ciebie na studia prawnicze”.

Joszidzi przyklasnął tym słowom, mówiąc: „Nie jestem tak jak wasz ojciec przeciwny studiom medycznym. Nasze śastry⁵² również nie są temu przeciwne, ale zawód lekarza nie uczyni z ciebie diwana, a ja pragnąłbym, abyś nim został albo nawet kimś więcej. Jedynie obierając tę drogę, będziesz mógł zapewnić pomoc waszej licznej rodzinie. Czasy zmieniają się szybko i są coraz trudniejsze – dlatego obecnie najmądrzej jest zostać adwokatem”.

Zwracając się do mojej matki, *joszidzi* dodał: „A teraz muszę już odejść. Zastanówcie się nad tym, co powiedziałem. Mam nadzieję, że kiedy przybędę do was następnym razem, dowiem się o twoich przygotowaniach do podróży do Anglii. Proszę, dajcie mi znać, czy mogę wam być w czymś pomocny”.

Joszidzi odszedł, a ja zacząłem budować zamki na lodzie.

Mój starszy brat był poważnie zatroskany. Jak znaleźć fundusze na wysłanie mnie? I w ogóle czy można było mieć zaufanie do takiego jak ja młodzika i wysłać go samego za granicę?

Matka się zamartwiała. Nie była skłonna się ze mną rozstawać. Oto jakimi sposobami usiłowała odwieść mnie od tego zamiaru: „Stryj – mówiła – jest teraz najstarszym członkiem rodziny. Powinno się przede wszystkim zasięgnąć jego rady. Jeżeli on wyrazi swą zgodę, zajmiemy się tym”.

51 *Joszidzi* – astronom, astrolog.

52 Śastry – zbiór pism dotyczących moralności, logiki.

Mój brat był innego zdania i powiedział do mnie: „Mamy pewne roszczenia wobec rządu Porbandaru. Mister Lely jest administratorem i jest bardzo dobrego zdania o naszej rodzinie, stryj jest również bardzo dobrze notowany u niego. Możliwe, że uda mu się uzyskać pewną pomoc rządową na twoje studia w Anglii”.

Bardzo mi to odpowiadało i czyniłem przygotowania do wyjazdu do Porbandaru. Kolei w owych czasach jeszcze nie było. Miałem przed sobą pięciodniową podróż wozem, ciągnionym przez woły. Przyznałem się już przedtem do tego, że byłem tchórzem, ale moje tchórzostwo rozwiało się wobec gorącego, całkowicie pochłaniającego mnie pragnienia wyjazdu do Anglii. Wynająłem wóz zaprzężony w woły aż do Dhoradży, a stamtąd ruszyłem w drogę na wielbłądzie, chcąc w ten sposób o jeden dzień wcześniej przybyć do Porbandaru. Była to moja pierwsza jazda na wielbłądzie. Wreszcie przybyłem na miejsce, z pokorą pozdrowiłem mego stryja i opowiedziałem mu o wszystkim. Stryj zastanowił się i odrzekł: „Nie mam pewności, czy pobyt w Anglii nie odbije się niekorzystnie na twoich uczuciach religijnych. Sądząc z tego, co słyszałem, mam raczej pewne wątpliwości. Spotykając się z tymi znakomitymi adwokatami, nie spostrzegam żadnej różnicy pomiędzy nimi a Europejczykami. O ile chodzi o sprawy odżywiania się, nie mają oni żadnych skrupułów. Nie wyjmują cygar z ust. Ubierają się równie bezwstydnie jak Anglicy. Wszystko to stoi w sprzeczności z naszymi rodzinnymi tradycjami. Ja sam wkrótce udam się na pielgrzymkę, niewiele mi już pozostało lat życia. Jakże bym mógł, stojąc u progu śmierci, pozwolić ci na wyjazd do Anglii, na przebycie tylu mórz? Nie chcę jednak stanąć w poprzek twojej drogi, tu chodzi przecież głównie o zgodę twojej matki. Jeżeli ona ci pozwoli – ruszaj z Bogiem! Powiedz jej, że się nie sprzeciwiam. Wyjedziesz, mając moje błogosławieństwo”.

– Niczego więcej nie pragnę od ciebie, stryju! – odpowiedziałem. – Będę usiłował teraz przekonać moją matkę. A czy stryj nie mógłby mi dać polecającego listu do mister Lely’ego?

– Jakże mógłbym to zrobić? – odparł stryj. – Ale to jest bardzo dobry człowiek. Postaraj się, by cię przyjął, i opowiedz mu, z jakiej pochodzisz rodziny. Z pewnością okaże ci pomoc.

Nie rozumiem, dlaczego stryj nie dał mi owego listu polecającego. Mam jednak wrażenie, że nie chciał współdziałać w sprawie mego wyjazdu do Anglii, który uważał za sprzeczny z zasadami religijnymi.

Napisałem do mister Lely’ego, który wezwał mnie, bym się zgłosił do jego rezydencji. Spostrzegł mnie, idąc do góry schodami, oświadczył oschle: „Niech

pan wpierw złoży swój magisterski egzamin i następnie zobaczy się ze mną. Na razie nie mogę panu okazać żadnej pomocy”. Po czym szybko pobiegł schodami.

A ja tak starannie przygotowałem się do tego spotkania. Nauczyłem się na pamięć kilku sentencji, umiałem składać niski pokłon i pozdrawiać go obiema rękami. Wszystko na próżno.

Pomyślałem wtedy o biżuterii mojej żony, o moim starszym bracie, w którym pokładałem wszystkie swe nadzieje. Był hojny aż do przesady i kochał mnie jak swego syna.

Wróciłem więc z Porbandaru do Radżkotu i opowiedziałem o wszystkim, co miało miejsce. Zapytałem o radę joszidźiego, który sądził nawet, że mogę zaciągnąć na ten cel pożyczkę. Zaproponowałem zastawienie kosztowności mojej żony, za co dałoby się otrzymać od dwóch do trzech tysięcy rupii. Brat również obiecał postarać się o pieniądze.

Matka wciąż jeszcze była przeciwna memu wyjazdowi. Zaczęła gromadzić szczegółowe informacje: ktoś powiedział jej, że młodzież wykoleja się w Anglii, inny – że przyzwyczajają się do spożywania mięsa, jeszcze ktoś opowiedział, jakoby ta młodzież nie mogła żyć bez alkoholu.

– I cóż ty na to? – zapytywała mnie matka.

Na co odpowiadałem:

– Nie masz, matko, do mnie zaufania? Nie będę cię okłamywał, przysięgam jedynie, że nie dotknę żadnej z tych rzeczy. Czy *joszidźi* pozwoliliby mi wyjechać, gdyby istniało podobne niebezpieczeństwo?

– Mam do ciebie zaufanie... – mówiła matka – ale jak ci zaufać, skoro będziesz tak daleko? Jestem w rozterce i nie wiem, co czynić. Zasięgnę rady u swamiego Behadźiego.

Swami Behadźi, z pochodzenia *modh bania*⁵³, został zakonnikiem dżinistów. Był, podobnie jak *joszidźi*, doradcą naszej rodziny i przyszedł mi z pomocą, oświadczając: „Każę mu złożyć trzy uroczyste ślubowania i wtedy można będzie pozwolić, by wyjechał”.

Zorganizował więc uroczyste złożenie przeze mnie trzech przysięg: nie pić wina, nie jeść mięsa, nie obcować z kobietami.

Po złożeniu przyrzeczeń matka udzieliła mi zezwolenia na wyjazd. Li-ceum urządziło na moją cześć pożegnalny wieczór. Wyjazd młodego człowieka

53 *Modh bania* – podkasta w kaście kupców.